/ Wydanie C
4,60 ZŁ W TYM 8%VAT
Nr ISSN 0137-9178 Nr indeksu 348-570
Nakład 18.710 Nr 28 (4576)
Piątek 4 lutego 2022
magazyn

GŁOS SZCZECIŃSKI
DZIENNIK POMORZA

Sport Pogoń przed szansą na mistrza. Trener myśli o nadzwyczajnej rundzie strona 24

Region: minister i protestujący rolnicy

FOT. SEBASTIAN WOŁOSZ

Region Rolnicy chcą spełnienia przez rząd kilku postulatów. M.in. uchwalenia tarczy antykryzysowej strona 2

Szczecin W Podjuchach pobito kierowcę autobusu. Motorniczy od dawna są tam zaczepiani przez agresywną młodzież strona 4

Kultura. Czy uratujemy mozaiki po Szczecińskim Domu Sportu strona 5

REKLAMA 0010405662

eprasa.pl 9875dceec8

Spotkanie z protestującymi rolnikami. Chwilami było gorąco

Marek Jaszczyński
marek.jaszczynski@gs24.pl

Region

W Barzkowicach odbyło się spotkanie wicepremiera Henryka Kowalczyka z rolnikami z naszego regionu.

- Od maja w Choszcznie prosiliśmy o komisję suszową. Mówiliśmy od początku, żeby powoływać rzeczoznawcę. Nie zrobiono z tym nic. Myślę, że jak się dobrze zastanowimy to rozwiążemy tą sprawę. Mamy bardzo duże obciążenia, nie wiemy jak pozbieramy się po żniwach, jak nie pomożecie to niektóre gospodarstwa nie poradzą sobie - mówił Stanisław Barna, rolnik z powiatu choszczeńskiego.

Rolnicy mają zastrzeżenia do działania aplikacji suszowych. Wiele z nich wymagałoby ponownej weryfikacji, bowiem wśród rolników są tacy, u których oszacowano straty na 29,8 procent, a od 30 procent była rekompensata za straty w uprawach. Rolnicy zostali ze stratami. Jak obliczają susza nawiedza nasz region piąty rok

- Żądamy rozmów i aplikację wyrzucić do kosza! - krzyczeli rolnicy w czasie spotkania i straszyli, że 16 lutego dojdzie do protestu na wielką skalę.

- Obniżenie progu do 20 procent spowoduje, że praktycznie wszyscy otrzymają jakieś odszkodowania - mówił Henryk Kowalczyk, wicepremier i szef resortu rolnictwa i rozwoju wsi.

Rolnicy pytali też, czy Polski Ład będzie dla polskiego rolnika?

- Polski Ład wspiera inwestycje różnego rodzaju, na przykład zakup sprzętu, nie wspiera płatności obszarowych - przypomniał premier Henryk Kowalczyk.

Uczestnicy spotkania zwracali też uwagę na bardzo wysokie ceny nawozów.

- Chciałem kupić nawóz za 1500 złotych, gdzie był wtedy rząd. Teraz 2500 złotych za nawóz, to niedopuszczalne. Skąd mamy wziąć te pieniądze? Wszystkie środki produkcji poszły w górę o 150 procent - mówił jeden z protestujących.

Henryk Kowalczyk przyznał, że w tym momencie rząd nie może spełnić tego żądania.

- Nie chce wypłacić panu dotacji do nawozu, bo musiałby ją pan oddać za rok - uspokajał premier.

Sześć postulatów

Przypomnijmy, że protestujący rolnicy mają sześć postulatów. Po pierwsze polityka państwa musi uwzględnić specyfikę rolnictwa w naszym regionie. Drugi postulat to wdrożenie tarczy antykryzysowej dla rolnictwa. Trzeci postulat to walka z suszą, która nawiedza nasz region od kilku lat. Rolnicy proponują, aby odszkodowanie wynosiło po 1000 zł do hektara uprawy jarej oraz po 700 zł do hektara uprawy ozimej, przy czym łąki i pastwiska powinny być traktowane jako uprawy ozime. Żądają zmiany zasady dofinansowania zjawisk suszy i brania pod uwagę kumulacji wysokich temperatur w krótkim okresie czasu oraz innych czynników wpływających na obniżenie plonu z powodu wadliwego funkcjonowania aplikacji sieciowej .

Kolejne postulaty dotyczą gospodarowania ziemią z zasobów SP , utworzenia holdingu rolno-spożywczego oraz ubezpieczeń rolniczych.

TUNEL

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Tunel pod Świną. Dwa lata prac nad najdłuższą podwodną przeprawą

Inwestycja ma być gotowa w pierwszym kwartale 2023 r. Po wydrążeniu tunelu wykonano już prawie w całości warstwę wiążącą nawierzchni bitumicznej i roboty brukarskie. Położenie ostatniej, ścieralnej warstwy asfaltu planowane jest wkrótce. Z kolei na wyspie Wolin zaawansowanie rzeczowe robót drogowych wynosi 59 procent. Częściowo wykonano nowy układ jezdni. Niedługo zacznie się rozbiórka dotychczasowych dróg i połączenie ulic Fińskiej, Duńskiej oraz wjazdu do tunelu z nowym układem drogowym. Całość ma mieć 3,2 km długości, a sam odcinek wydrążony przez TBM dokładnie 1483,8 metrów. Tunel będzie najdłuższą przeprawą podwodną w Polsce która mieszkańcom, przedsiębiorcom i turystom zapewni dogodną komunikację. **(BS)**

Prenumerata Zadzwoń!
94 340 11 14
prenumerata.gdp@polskapress.pl
prenumerata.gs24.pl

AUTOPROMOCJA
GŁOS SZCZECIŃSKI
Dzień dobry w poniedziałek.
Zacznij tydzień z nowym wydaniem

Jutro u nas

Temat Magazynu

Czy zawsze mówimy i chcemy znać prawdę?

Gwiazda

Alicja Majewska

Nie czuje upływu czasu i wciąż jest pełna energii

Kuchnia

Coś dla mięsożerców

Doceńcie zdrowe, smaczne i dietetyczne mięso indyka

LOTTO

02.02.2022 r., godz. 21.50
Multi Multi: 6, 7, 13, 15, 18, 33, 34, 36, 42, 43, 45, 53, 56, 57, 58, 68, 69, 71, 73, 76 Plus 53
Ekstra Pensja: 1, 7, 17, 23, 30, 2
Ekstra Premia: 1, 6, 7, 29, 34, 4
Mini Lotto: 8, 12, 18, 23, 24
Kaskada: 6, 8, 9, 10, 14, 15, 16, 17, 18, 22, 23, 24
Super Szansa: 9, 4, 6, 8, 2, 5, 6

03.02.2022 r., godz. 14
Multi Multi: 2, 13, 15, 20, 34, 35, 37, 38, 39, 42, 46, 51, 53, 54, 58, 61, 64, 70, 75, 76 Plus 46
Kaskada: 1, 4, 5, 7, 8, 10, 11, 13, 15, 17, 21, 23
Super Szansa: 4, 4, 5, 6, 7, 7, 9

WALUTY Z 03.02.2022

USD	**4,0267**	(-)
EUR	**4,5439**	(-)
CHF	**4,3656**	(-)
GBP	**5,4598**	(+)

(+) wzrost ceny w stosunku do notowania poprzedniego
(-) spadek ceny w stosunku do notowania poprzedniego

Pogoda w regionie

Dzisiaj
7°C
3°C
Barometr **1010hPa**
Wiatr **15 km/h**
Uwaga **przelotne opady**

Sobota
6°C
4°
Barometr **1012 hPa**
Wiatr **18 km/h**
Uwaga **przelotne opady**

Niedziela
8°C
4°C
Barometr **1001 hPa**
Wiatr **22 km/h**
Uwaga **przelotne opady**

Ludowcy w Szczecinie o wsparciu rolników i przedsiębiorców

Polityka

Władysław Kosiniak - Kamysz, prezes PSL oraz Piotr Zgorzelski, wicemarszałek Sejmu RP gościli w Szczecinie. Przedstawili propozycje wsparcia dla osób prowadzących działalność gospodarczą oraz dla rolników.

Okazją do pobytu w Zachodniopomorskiem było otwarcie biura poselskiego posła Jarosława Rzepy w Pyrzycach. Szef ludowców przedstawił propozycję skierowaną do osób prowadzących działalność gospodarczych.

- Mamy konkretną propozycję wyjścia z trudnej sytuacji, w której się znaleźli: rosnące koszty utrzymania działalności gospodarczej, sytuacja, kiedy ceny gazu, prądu, usług, produktów rosną z dnia na dzień, wymaga od państwa mądrych decyzji, wymaga mądrych decyzji od parlamentu - mówi Władysław Kosiniak - Kamysz, prezes PSL. - Złożyliśmy projekt ustawy o dobrowolnym ZUS-ie: jak nie jesteś w stanie zapłacić ZUS przez okres kilku kilkunastu miesięcy, po prostu masz wakacje i to w momencie, kiedy składka zusowska rośnie z roku na rok. Podobne rozwiązanie funkcjonuje w Niemczech.

Drugi pomysł ludowców przedstawiony w Szczecinie dotyczy pomocy dla rolników. To 1000 złotych dopłaty do 1 tony nawozów.

- Złożyliśmy swoją propozycję ustawy, dopłaty do nawozów sztucznych, żeby żywność była tańsza, żeby można było tą żywność zakupić na wiosnę, żeby rolnicy po prostu uprawiali ziemię, bo wielu rezygnuje z tej działalności, nie jest w stanie prowadzić gospodarstwa - tłumaczy cel ustawy szef ludowców. - Wychodzimy w ten sposób naprzeciw potrzebom tych, którzy ciężko pracują, ludziom aktywnym, bo jesteśmy takim środowiskiem, które stawia na aktywność.

Ludowcy nie wejdą do koalicji rządowej. Jednak rząd może liczyć na wsparcie w istotnych sprawach. **(jasz)**

FOT. MAREK JASZCZYŃSKI

- Jesteśmy w opozycji konstruktywnej. Dobry czy ważny dla kraj projekt będzie miał nasze poparcie bez względu na to kto rządzi aktualnie - podkreśla Kosiniak - Kamysz.

eprasa.pl 9875dceec8

DZIAŁO SIĘ 4 LUTEGO

900
Ludwik IV Dziecię został królem wschodnich Franków.

1194
Cesarz rzymski Henryk VI Hohenstauf zwrócił po roku wolność królowi Anglii Ryszardowi I Lwie Serce w zamian za złożenie hołdu lennego i wysoki okup.

1339
W Warszawie przed wysłannikami papieża Benedykta XII rozpoczął się proces kanoniczny, którego stronami były Korona Królestwa Polskiego i zakon krzyżacki.

1555
W Londynie został spalony na stosie John Rogers, duchowny anglikański, tłumacz i komentator Biblii, pierwszy męczennik protestancki w okresie rekatolicyzacji Anglii za panowania królowej Marii Tudor.

1900
Feliks Dzierżyński został aresztowany i osadzony w Cytadeli.

1912
Austriacki krawiec Franz Reichelt zginął skacząc z pierwszego poziomu Wieży Eiffla w czasie testowania płaszcza-spadochronu własnego projektu.

1921
Ustanowiono Order Odrodzenia Polski, a Order Orła Białego odnowiono jako najwyższe odznaczenie państwowe.

1938
W III Rzeszy w wyniku uknutej afery zostali zdymisjonowani minister wojny Werner von Blomberg i naczelny dowódca wojsk lądowych Werner von Fritsch. Adolf Hitler został naczelnym dowódcą Wehrmachtu, a stanowisko ministra spraw zagranicznych objął Joachim von Ribbentrop, zastępując Konstantina von Neuratha, który pozostał w rządzie jako minister bez teki.

1971
Zbankrutowało brytyjskie przedsiębiorstwo znane pod nazwą Rolls-Royce, co doprowadziło do jego nacjonalizacji

SZCZECIN

GDDKiA

Kto zaprojektuje nową „10"? Ogłoszono przetarg na obwodnicę Mierzyna

- Ogłosiliśmy przetarg na opracowanie dokumentacji dla obwodnicy Mierzyna w ciągu DK10 o dł. 4,8 km. Droga ma połączyć przyszły węzeł Dołuje z miastem Szczecin. Inwestycja będzie prowadzona wspólnie z samorządem na podstawie podpisanego w ubiegłym tygodniu porozumienia - poinformowała GDDKiA.

Przypomnijmy, że Generalna Dyrekcja Dróg Krajowych i Autostrad i Szczecin podpisali porozumienie dotyczące współfinansowania projektu i budowy nowego odcinka krajowej „10". Pod koniec 2024 roku inwestycja ma być gotowa do realizacji.

Początkiem drogi od strony Szczecina będzie skrzyżowanie na końcu ulicy Ku Słońcu w rejonie istniejącego centrum handlowego. Ten początkowy fragment, o długości ponad 200 metrów, to teren miasta Szczecin. Dalej trasa będzie biegła w kierunku północnym do połączenia ulic Topolowej i Łukasińskiego. Za ten odcinek o długości ok. 1,2 km będzie odpowiedzialna GDDKiA.

Dalej trasa ponownie wejdzie na teren Szczecina i będzie biegła w kierunku zachodnim, przechodząc częściowo przez teren ogródków działkowych. Na połączeniu z ul. Nasienną planowane jest rondo. Po około 2,1 km droga opuści teren miasta. Dalej nowa DK10 po pokonaniu około 1,3 km dotrze do węzła Dołuje. Ten ostatni fragment leżeć będzie w gestii GDDKiA. **(JASZ)**

CYTAT TYGODNIA

- Powinni się wypowiedzieć eksperci zewnętrzni, niezwiązani z urzędem marszałkowskim ani z wykonawcą; którzy będą mogli obiektywnie przeanalizować sprawę. Myślę, że na lutowym posiedzeniu projekt uchwały, jeżeli chodzi o wszczęcie kontroli, będzie będzie przedmiotem obrad

powiedział Radiu Szczecin Paweł Mucha, radny sejmiku województwa na temat problemów przy budowie nowej siedziby urzędu marszałkowskiego w Szczecinie.

FOT. ANDRZEJ SZKOCKI

REKLAMA 0010411288

TANI WĘGIEL
Eko Energia Szczecin
ul. Szklana 3, Podjuchy
www.zawszetani.pl
91 471 21 34
668 394 388

	PAŹDZIERNIK
KOSTKA	1360
ORZECH	1320
GROSZEK	1270
GROSZEK 8-25 (ekogroszek)	1300

OGRZEJ SIĘ Z NAMI TEJ ZIMY

REKLAMA 0010412369

HERMES ZAKŁAD POGRZEBOWY
hermes.szczecin.pl
ZAKŁAD POGRZEBOWY
tel. 506 28 88 28
ul. Kordeckiego 15, Szczecin
GRATIS: PRZEWÓZ Z DOMU | LEKARZ | OPRAWA MUZYCZNA

eprasa.pl 9875dceec8

Kolejny agresywny atak na ratowników medycznych

Łukasz Czerwiński
lukasz.czerwinski
@polskapress.pl

Region

W ostatnim czasie ratownicy medyczni coraz częściej spotykają się z agresją słowną i niestosownymi gestami. Pacjent w Pyrzycach przekroczył jednak wszelkie granice. Podczas transportu do szpitala, zaatakował jednego z ratowników i uszkodził ambulans.

FOT. GS24.PL

Ratownicy medyczni coraz częściej spotykają się z agresją ze strony pacjentów lub ich znajomych

- Niestety cały czas mają miejsce takie sytuacje, gdzie ratownicy medyczni są bezpośrednio atakowani. Średnio w ciągu roku mamy kilkadziesiąt takich zdarzeń. Najczęściej jest to forma agresji ze strony pacjentów lub po prostu świadków zdarzeń - mówi Paulina Heigel, rzeczniczka prasowa Wojewódzkiej Stacji Pogotowia Ratunkowego.

Do zdarzenia doszło kilka dni temu. Ratownicy otrzymali wezwanie do 58-letniego mężczyzny, który siedział przy chodniku na ulicy Stargardzkiej w Pyrzycach. Miał ranę głowy, która wymagała przewiezienia go do szpitala. Podczas transportu mężczyzna zaczął zachowywać się agresywnie. Najpierw obrażał ratowników i rzucał w ich kierunku groźby, po czym przeszedł do czynów i zaatakował jednego z nich, uderzając w górną część tułowia. Napastnik wepchnął ratownika do przedziału kierowcy i uszkodził ambulans. Na miejsce wezwana została policja, która asystowała przy dalszym transporcie do szpitala. [b]Agresywny mężczyzna musi liczyć się z konsekwencjami swojego zachowania.

- Na szczęście [b]nic poważnego nie stało się zaatakowanemu ratownikowi[/b]. Mamy nadzieję, że mężczyzna, który zaatakował ratowników i zniszczył ambulans odpowie za to. Sprawa została zgłoszona na policję, a ratownicy medyczni złożyli zeznania - informuje Paulina Heigel. [/cyt]

W sytuacjach bezpośredniego ataku, ratownicy medyczni nie mogą podjąć żadnych bezpośrednich działań w kierunku agresora.

- Nie mogą absolutnie odpowiadać atakiem w stronę agresywnego pacjenta. Nie mogą używać żadnych paralizatorów, gazu pieprzowego i innych tego typu narzędzi. Zgodnie z prawem, wszystko co może zrobić ratownik w takiej sytuacji, to oddalić się w bezpieczne miejsce i wezwać policję - tłumaczy Paulina Heigel.

Nie brakuje też pozytywnych gestów.

Na szczęście nie jest tak, że lekarze i ratownicy spotykają się wyłącznie z negatywnym podejściem. Często do sekretariatu WSPR trafiają listy pełne ciepłych słów w kierunku medyków. Słowa wsparcia pojawiają się także w mediach społecznościowych.

- Tak właśnie było w przypadku pochwał z Gryfic - mówi Paulina Heigel - Zawsze jest miło, kiedy ktoś docenia ciężką pracę ratowników i powie miłe słowo. Czasami zwykłe dziękuję jest najlepszą nagrodą - dodaje.

Policja szuka sprawców pobicia kierowcy „85”

Szczecin

W środę przy ulicy Krzemiennej w Podjuchach, doszło do pobicia kierowcy autobusu linii 85. Kierowcy od dawna byli tam zaczepiani przez agresywną młodzież. Okoliczności pobicia wyjaśnia policja.

Mężczyzna zadzwonił do dyspozytora z prośbą o pomoc. Rozmowa urwała się, a w tle słychać było szarpaninę i krzyki - informuje Hanna Pieczyńska, rzecznika prasowa Zarządu Dróg i Transportu Miejskiego.

Kierowca prawdopodobnie zwrócił uwagę młodzieży na ich zachowanie i dlatego został zaatakowany. Do zdarzenia doszło około godziny 19:20, a na miejsce zostały wezwane służby ratunkowe.

- Otrzymaliśmy wezwanie na ulicę Krzemienną do mężczyzny, który miał być zaatakowany przez nieznanych sprawców. Kiedy ratownicy dotarli na miejsce, zastali kierowcę w wieku 53 lat. Mężczyzna był przytomny w stanie stabilnym, ale doznał urazu głowy, twarzy i pleców. Został zabezpieczony i przewieziony do szpitala - informuje Paulina Heigel, rzecznika prasowa Wojewódzkiej Stacji Pogotowia Ratunkowego.

Na miejscu pojawiła się również policja, która prowadzi czynności zmierzające do ustalenia faktycznego przebiegu zdarzenia, a także zatrzymania sprawców. Całe zajście zostało zarejestrowane przez kamery monitoringu. Na miejscu byli również świadkowie, którzy pomogli zaatakowanemu kierowcy. Sprawcami pobicia prawdopodobnie są nastolatkowie, którzy często przebywają w okolicy pętli Podjuchy i niejednokrotnie zaczepiali już pasażerów i kierowców.

- Rzeczywiście na pętli Podjuchy Dworzec, już przed tym pobiciem dochodziło do nieprzyjemnych sytuacji. Dochodziły do nas informacje od kierowców, pasażerów i mieszkańców, że grupy nietrzeźwych nastolatków spędzają czas na pętli i zachowują się agresywnie i prowokacyjnie. Zwrócimy się do policji o objęcie szczególnym nadzorem tego miejsca - mówi Hanna Pieczyńska - Zarówno PKS jak i ZDiTM deklarują pełną współpracę z policją. Liczymy, że szybko uda się odnaleźć sprawców tego barbarzyńskiego zdarzenia - dodaje. **(ŁC)**

Prokuratura sprawdza okoliczności związane z informacją burmistrza

Goleniów

Wciąż nie wiadomo, jak prokuratura odniesie się do złożonego przez czterech radnych zawiadomienia o podejrzeniu popełnienia przestępstwa przez burmistrza. W tle ujawnienie zaległych rachunków za odpady.

Zawiadomienie zostało złożone po tym, jak Robert Krupowicz podczas wrześniowej sesji ujawnił, że kilkoro radnych ma zaległości w płatnościach za śmieci, wymieniając przy tym z nazwiska radnych Łukasza Mitułę, Marcina Gręblickiego, Mariusza Skakuja, Krzysztofa Sypienia oraz Katarzynę Zalewską - Paciorek. Podał precyzyjnie czas zaległości i kwoty. Radni zawiadomili prokuraturę o podejrzeniu popełnienia przestępstwa ujawnienia tajemnicy skarbowej. W ordynacji podatkowej osoby zobowiązane do przestrzegania tajemnicy skarbowej są wymienione enumeratywnie, i są wśród nich burmistrzowie.

- W związku z tym, że aktualnie prowadzone są czynności związane z weryfikacją okoliczności wskazanych w zawiadomieniu, Prokuratura nie udziela szczegółowych informacji na temat prowadzonego postępowania - napisała w mailu Alicja Macugowska - Kyszka. **(PP)**

Do Świnoujścia gaz dla Ukrainy

Świnoujście

Zamówiony przez PGNiG statek z amerykańskim gazem przypłynie do Terminalu LNG w Świnoujściu pod koniec lutego. Po regazyfikacji paliwo trafi na Ukrainę.

Polska spółka zakupiła ładunek gazu z USA, który po regazyfikacji zostanie dostarczony gazociągami do granicy polsko-ukraińskiej dla ERU Europe.

– To kolejna dostawa amerykańskiego LNG na Ukrainę zrealizowana przez PGNiG we współpracy z ERU, które jest naszym strategicznym partnerem handlowym na tamtejszym rynku. Budowane przez lata, dobre relacje są szczególnie istotne teraz, w dobie dużych zawirowań na rynku gazu w Europie. Możemy wzmacniać bezpieczeństwo energetyczne regionu-powiedział Paweł Majewski, szef PGNiG.

- Dzięki dostawom konkurencyjnego gazu ziemnego z USA ERU będzie wspierać bezpieczeństwo dostaw dla ukraińskich klientów w pozostałych miesiącach tej zimy - dodał Yaroslav Mudriy, partner zarządzający ERU.

PGNiG i ERU współpracują ze sobą od kilku lat. W sierpniu 2016 r. ERU odebrało pierwszą dostawę gazu sprzedaną przez PGNiG na rynek ukraiński. W przeszłości obie firmy wspólnie dostarczały gaz ziemny również na potrzeby ukraińskiego operatora sieci przesyłowych i magazynów gazu. W październiku 2021 r. GK PGNiG, we współpracy z ERU, zrealizowała pierwszą w historii dostawę nierosyjskiego gazu dla Mołdawii. **(MP)**

Nowy wykonawca na budowie SKM. Inwentaryzacja prac i materiałów

Szczecin

Nie udało się w styczniu. Dopiero w tym miesiącu nowy wykonawca wejdzie na odcinek linii Szczecin - Police. To jeden z elementów budowy infrastruktury Szczecińskiej Kolei Metropolitalnej.

- Niezbędna była inwentaryzacja prac oraz materiałów na placu budowy. Już ten zakres wykonano. Przekazanie placu budowy wykonawcy zastępczemu ZRK-DOM Poznań na odcinku linii kolejowej nr 406 Szczecin Główny - Police (tzw. spornym odcinku) planowane jest w lutym - informuje Bartosz Pietrzykowski z zespołu prasowego PKP Polskie Linie Kolejowe S.A.

Nowy wykonawca to Zakład Robót Komunikacyjnych - DOM w Poznaniu (jest spółką należącą do PKP Polskie Linie Kolejowe). Dotychczasowe dokonania firmy świadczą o tym, że PLK wybrały właściwie. Wśród realizacji spółki jest m.in. wymiana nawierzchni torowej na odcinku Wrocław-Wróblin, modernizacja linii kolejowej nr 273, na odcinku Dolna Odra - Szczecin, modernizacja linii kolejowej nr 18 Kutno - Piła, na odcinku Toruń - Bydgoszcz.

Zgodnie z umową wartą ok. 29,9 mln zł ze środków budżetowych, ZRK DOM wzmocni grunt, podtorze i skarpy, a także przebuduje nawierzchnię na ok. 2,5 km odcinku linii Szczecin Główny - Police. Prace ZRK-DOM Poznań planowane są do końca tego roku.

- Wykonawstwo zastępcze zapewni front robót dla Trakcji S.A. Prace wykonywane przez ZRK-DOM Poznań w zakresie m.in. dodatkowego wzmocnienia gruntu, podtorza i skarp, a także przebudowy elementów nawierzchni, pozwolą Trakcji S.A. wchodzić sukcesywnie na plac budowy już od przełomu I i II kwartału br. Przy zapewnieniu oczekiwanego potencjału przez tę firmę, inwestycja zostanie zrealizowana do końca obecnej perspektywy finansowej Unii Europejskiej, czyli do końca 2023 roku - wyjaśnia Bartosz Pietrzykowski.

Przypomnijmy, że kulą u nogi budowy SKM są dwa zadania zlecone przez PKP Polskie Linie Kolejowe. Pierwsze to modernizacja 24 km linii kolejowej nr 406 na odcinku Szczecin Główny - Police. Drugie zadanie to modernizacja wybranych elementów infrastruktury pasażerskiej na liniach kolejowych 273 (tzw. „Nadodrzanka”), 351 (Poznań Główny - Szczecin Główny) oraz 401 (Szczecin Dąbie - Świnoujście). Budowa Szczecińskiej Kolei Metropolitalnej prowadzona jest na podstawie porozumienia między samorządami Szczecińskiego Obszaru Metropolitalnego, a PKP Polskimi Liniami Kolejowymi. W projekcie wartym ponad 800 milionów złotych, z czego większość pieniędzy pochodzi z funduszy unijnych, każdy partner ma swój obszar odpowiedzialności. Dziś samorządy, zgodnie z harmonogramem, projektują i budują infrastrukturę wokół przystanków kolejowych. Za modernizację i budowę linii kolejowych wraz z wybranymi przystankami odpowiada PKP PLK. Wybrany przez kolejarzy generalny wykonawca - TRAKCJA SA ma już wielomiesięczne opóźnienia w stosunku do pierwotnych harmonogramów. **(jasz)**

eprasa.pl 9875dceec8

Czy uda się zachować mozaiki Szczecińskiego Domu Sportu?

Łukasz Czerwiński
lukasz.czerwinski
@polskapress.pl

Szczecin

Niedawno poznaliśmy koncepcję nowego budynku Szczecińskiego Domu Sportu, który miałby stanąć w miejscu przeznaczonego do wyburzenia starego obiektu. W jego wnętrzu znajdują się jednak wyjątkowe dzieła. Są to dwie mozaiki, a także sgraffito.

- To nie są banalne prace. Jedna mozaika jest dużego formatu i znajduje się na ścianie basenu dla dzieci. Jest to mozaika pana Sławomira Lewińskiego, który w Szczecinie i regionie zasłynął jako najlepszy rzeźbiarz epoki PRL - mówi Sabina Wacławczyk, szczecińska artystka i współautorka projektu „Mozaiki szczecińskie".

Dwie pozostałe prace znajdują się w holu, to kolarz z mozaiką nieznanego autorstwa, a także sgraffito. Sabina Wacławczyk podejrzewa, że druga mozaika również została stworzona przez Sławomira Lewińskiego.

- Od dwóch lat z Joanną Olszowską próbujemy w jakikolwiek sposób ustalić, kto tę pracę stworzył. Bardzo prawdopodobny jest fakt, że jest to także praca pana Lewińskiego - mówi.

Sabina Wacławczyk i Joanna Olszowska są autorkami projektu „Mozaiki szczecińskie". Sukcesywnie odnajdują kolejne dzieła, które kryją się w Szczecinie. Ciężka praca tropicielek zaowocowała stworzeniem specjalnej mapy miasta, na której zaznaczono wszystkie mozaiki. W Szczecinie ma być ich już 127. Trzeba czuwać nad ich ocaleniem, by nie skończyły jak te na dworcu głównym PKP.

- W ubiegłym roku udało nam się uratować dwie mozaiki przed potencjalną zagładą. Uratowaliśmy mozaiki z dawnego ośrodka szkolno - wychowawczego na ulicy Szpitalnej - opowiada Sabina Wacławczyk - Na dworcu głównym w wyniku modernizacji postanowiono zakryć płytami mozaikę pana Kazimierza Błonko, bardzo wartościową pracę artystyczną - dodaje.

FOT. SABINA WACŁAWCZYK/ FACEBOOK P. JASKULSKI

Teraz obie panie zwracają uwagę na dzieła znajdujące się w budynku SDS-u. Obiekt jest przeznaczony do wyburzenia, lecz warto ocalić skrywające się tam prace artystyczne. Temat podjął radny Patryk Jaskulski.

- W sprawie mozaik zgłosili się do mnie mieszkańcy, między innymi przedstawiciele strony „Mozaiki szczecińskie". Jeżeli jest taka możliwość techniczna, to warto się pochylić nad tym, żeby te mozaiki w jakiś sposób zachować - mówi radny.

Patryk Jaskulski złożył w tej sprawie interpelację do prezydenta miasta, pod którą podpisali się także radni Przemysław Słowik i Łukasz Kadłubowski. W interpelacji pytają czy miasto planuje zachować mozaiki, które znajdują się w budynku i gdzie zostaną umieszczone po ewentualnym zdemontowaniu.

- Podobno te mozaiki są kładzione taką techniką, że można je po prostu zdjąć. Fajnym urozmaiceniem i nawiązaniem do historii tego miejsca, będzie wkomponowanie tych mozaik w nową przestrzeń SDS-u - mówi radny Patryk Jaskulski.

Radny Koalicji Obywatelskiej zaznacza, że w innych miejscach udało się zdemontować i ocalić mozaiki, podczas modernizacji budynków.

- Historycznie była podobna sytuacja w sprawie mozaik na dworcu w Stargardzie, gdzie udało się część tych prac zachować i odtworzyć - mówi Patryk Jaskulski - Na pewno będziemy wracać do tematu - zapewnia.

Cmentarz Centralny od dzisiaj otwarty. Trwa usuwanie szkód

Szczecin

Dziś od rana Cmentarz Centralny w Szczecinie ponownie będzie otwarty. Niektóre miejsca mogą być jednak niedostępne ze względu na bezpieczeństwo,

Nekropolia była zamknięta przez kilka dni po orkanie, który w weekend przeszedł nad Szczecinem. Wiatr połamał wiele drzew, które zniszczyły pomniki i alejki. Usuwanie szkód potrwa długo.

- Usuwanie skutków wichury potrwa jednak jeszcze kilka tygodni. Miejsca, w których nadal może występować zagrożenie będą ogrodzone taśmą. Prosimy mieszkańców o zachowanie szczególnej ostrożności - wyjaśnia Paulina Łątka ze szczecińskiego magistratu. **(MP)**

FOT. SEBASTIAN WOŁOSZ

Cmentarz Centralny po wichurze. Wiele połamanych drzew wciąż nie spadło na ziemię, bo trzymają je drzewa stojące obok.

REKLAMA 0010387159

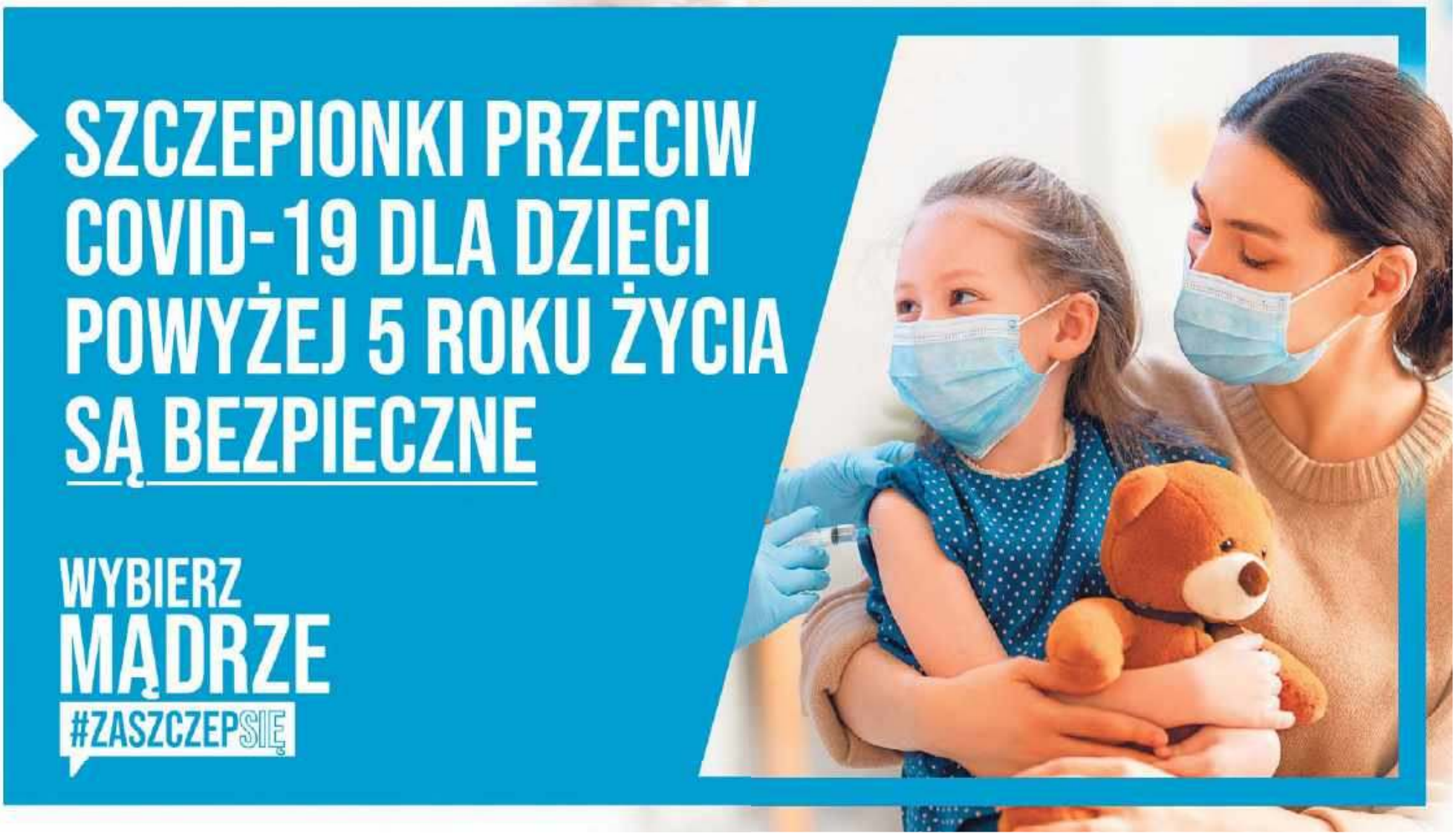

eprasa.pl 9875dceec8

Mariusz Grabowski
mariusz.grabowski
@polskapress.pl

Kosmos

W departamencie obrony USA powstaje komórka śledząca obecności UFO. Jeszcze nie ma oficjalnej nazwy, ale prześmiewczy komentatorzy sugerują, że powinna się nazywać „Łowcy Marsjan".

FOT. 123RF

W popkulturze UFO przedstawia się jako latające spodki. Zdjęcia „prawdziwego" UFO są zazwyczaj ciemne i mało wyraźne

Poszukiwacze UFO w Pentagonie

Stany Zjednoczone mają największą armię na świecie. Wydają ponad 600 mld dolarów na obronę narodową, a oprócz tego aż 150 mld dolarów na misje zagraniczne. US Army liczy blisko 1,5 mln żołnierzy w służbie czynnej i 850 tys. rezerwistów. Teraz powiększy się o nową jednostkę, która będzie szukać UFO.

AOIaMSG

Wiadomości o tym, że departament obrony USA powołuje wyspecjalizowaną „grupę badawczą do spraw potencjalnej obecności UFO w ograniczonej przestrzeni powietrznej", pojawiły się pod koniec zeszłego roku. Pomysł pojawił się w momencie, gdy w czerwcu 2021 r. opublikowano raport o 144 obserwacjach „tajemniczych obiektów latających" w ciągu ostatnich dwóch dekad. Miały pojawiać się w pobliżu sekretnych obiektów wojskowych i zostały sfilmowane przez pilotów.

„Obecność niezidentyfikowanego obiektu latającego w ograniczonej przestrzeni powietrznej stwarza potencjalne zagrożenie dla załóg transportu lotniczego i wywołuje obawy dotyczące bezpieczeństwa narodowego" - skomentowała jego zawartość cytowana przez Agencję Reutera Kathleen Hicks, zastępca amerykańskiego sekretarza obrony.

To właśnie ona stoi za pomysłem powołania nowej jednostki. Pentagon w oficjalnym oświadczeniu poinformował, że jednostka (jej nieoficjalna nazwa to Airborne Object Identification and Management Synchronization Group, czyli Grupa ds. identyfikacji obiektów powietrznych i synchronizacji zarządzania) będzie umiejscowiona w biurze wywiadu i bezpieczeństwa Departamentu Obrony USA. W jego skład wejdą wojskowi z wywiadu i specjaliści cywilni zajmujący się tą tematyką.

Zieloni interwenci

Co właściwie będą robić pracownicy nowego biura? Pentagon wyjaśnia: „Skupią się na incydentach na terenie lub w pobliżu wyznaczonych obszarów >>przestrzeni powietrznej specjalnego przeznaczenia<< (tzw. SUA), ściśle kontrolowanych i zablokowanych dla lotnictwa cywilnego. Kluczową rolę ogrywa tu termin „wtargnięcie". „Wtargnięcie jakiegokolwiek obiektu powietrznego może stanowić bowiem wyzwanie dla bezpieczeństwa narodowego" - tłumaczy Pentagon. Na dowód pokazano jeden z przykładów, który znalazł się w raporcie. To nagranie z 2020 r., zrobione przez pilotów marynarki wojennej, na którym widać tajemnicze obiekty „poruszające się z niewiarygodną prędkością", wirujące i w niewytłumaczalny sposób znikające.

Władze traktują sprawę z powagą, a Kathleen Hicks mówi wręcz o sprawie „bezpieczeństwa narodowego". Problem w tym, że wielu komentatorów i analityków uważa całą rzecz za wydumaną. Czym innym bowiem bezpieczeństwo i nieznane technologie, czym innym zaś sugestie, że za incydentami kryją się zieloni interwenci z kosmosu. Używanie mają też felietoniści i satyrycy dowodzący, że oto na naszych oczach realizuje się prześmiewcza wizja „przyszłej" US Army z filmu „Człowiek, który gapił się na kozy" z 2009 r., w którym reżyser Grant Heslov wykpił marzenia militarystów o New Age'owym wojsku.

Amerykańskie media rozpisują się o tym, że armia amerykańska przez dziesiątki lat mierzyła się z tematem „latających spodków"

Larry David, kontrowersyjny komik, ten sam, który w 2017 r. śmiał się z Polaków, że wybrali sobie w 1933 r. Hitlera na kanclerza, zażartował, że pierwsze kroki agenci AOIaMSG powinni skierować do przechowywanego w sekretnych sejfach amerykańskiej armii kosmity z Roswell. Po co? Aby poprosić go o więcej szczegółów na temat kumpli latających nad Ameryką.

Ale Hicks dostaje się też za nazbyt wybujałą ambicję, a nawet za to, że do ekipy Bidena dołączyła z wyrachowania - za prezydentury Donalda Trumpa pracowała bowiem w waszyngtońskim Centrum Studiów Strategicznych i Międzynarodowych (CSIS).

UFO jest wszędzie

Przy okazji wyszedł na jaw inny fakt. Okazało się bowiem, że jednostka podobna do przyszłej AOIaMSG istnieje już od dawna jako tzw. grupa zadaniowa w ramach marynarki wojennej Stanów Zjednoczonych. Sprawę ujawniła Agencja Reutera, a dopytywani przedstawiciele US Navy niezbyt precyzyjnie potrafili powiedzieć, czym się owa grupa zajmuje. Oficjalny komunikat informuje, że „wykrywaniem i identyfikacją nietypowych obiektów latających oraz oceną stopnia zagrożeń potencjalnie przez nie wywoływanych".

Amerykańska marynarka wojenna to ten rodzaj wojska, który ma największą autonomię, zaś United States Navy Intelligence, czyli Wywiad Marynarki wojennej Stanów Zjednoczonych to najdłużej istniejąca służba wywiadowcza w państwie. Grupa poszukiwaczy UFO, działająca w jego strukturze, to prawdopodobnie relikt jeszcze z końca zimnej wojny, kiedy szukano wszelkich sposobów, aby dobić Rosjan.

Amerykańskie media rozpisują się zatem o tym, że armia amerykańska przez dziesiątki lat mierzyła się z tematem „latających spodków", które miano zaobserwować już w latach 40. minionego wieku. Wskazują przy tym na działania polegające na odpieraniu zarzutów, demaskowaniu fikcyjnych teorii i dyskredytowaniu relacji osób deklarujących, że zaobserwowały UFO.

To ostatnie odnosi się do lata 1952 r., gdy liczba „incydentów" z udziałem UFO zgłoszonych Armii skoczyła z 23 do 148 miesięcznie, CIA opracowała wówczas raport wzywający do stworzenia „narodowej polityki odnośnie tego, co mówi się opinii publicznej na temat tego fenomenu, aby zminimalizować ryzyko paniki". Ogłoszony wtedy tzw. Raport Robertsona (jego autorami byli specjaliści wojskowi i cywilni) wyrażał obawę, że „masowa histeria UFO może doprowadzić do zwiększonej wrażliwości na wrogą wojnę psychologiczną".

Co wie Barack Obama?

Wydaje się, że - jak sugerował „New York Times" w artykule po opublikowaniu raportu w czerwcu 2021 r. „Armia latami dyskredytowała doniesienia o UFO, w 2019 r. oficjalnie przyznała, że istnieje, a teraz robi wszystko aby nas z tym faktem oswoić".

Faktycznie, rola Pentagonu w kwestii UFO wydaje się dwuznaczna. W przeszłości chętnie wykorzystywał kosmitów jako straszak i przykrywkę dla swoich własnych działań, w tym do testów supernowoczesnych samolotów o dziwacznych kształtach. Próby w locie niewidzialnych dla radaru bombowców F-117 i B-2 w latach 80. prowadziły do fali obserwacji UFO nad Nevadą i sąsiednimi stanami. „Wtedy amerykańscy wojskowi niczego nie dementowali" - pisze „NYT".

Obecne powołanie „ufolologicznego" biura w Pentagonie to sygnał, że zmienia się oficjalna polityka USA wobec „nieznanych zjawisk". Czy zatem docenieni mogą się czuć poszukiwacze-amatorzy, którzy latami byli wykpiwani za swoje teorie, pisarze, udowadniając istnienie zielonych ludzików, demaskatorzy kłamstw rządu na temat incydentu w Roswell, w Nowym Meksyku gdzie - jak wierzy 70 proc. Amerykanów - złapano żywego ufoludka?

Po trosze tak, temat kosmitów przestał być wstydliwy. Eksprezydent USA Barack Obama pytany o UFO przez Jamesa Cordena, prowadzącego talk-show „The Late Late Show" odpowiedział nieco tajemniczo i wymijająco, że „jest prawdą, i mówię zupełnie poważnie, że mamy zdjęcia i nagrania obiektów na niebie - niezidentyfikowanych fenomenów powietrznych - co do których nie wiemy dokładnie, czym są". Joe Biden, proszony o skomentowania słów poprzednika odparł zaś: „ja bym go o to jeszcze dopytał", co uznano za potwierdzenie plotek, że „Obama coś wie".

A może to fejk?

Wydaje się, że polityczna moda na UFO w Stanach szkodzi najbardziej zdrowemu rozsądkowi. Co trzeźwiejsi eksperci zauważają bowiem, że część z nagrań może być rezultatem nie obserwacji realnych obiektów, ale wynikać z błędów powstałych na skutek niebywałego skomplikowania systemów optycznych i komputerowych, z których złożone są dzisiejsze wojskowe czujniki.

Mogą być też obserwacjami nieznanych lub błędnie rozpoznanych naturalnych fenomenów atmosferycznych. Wreszcie, owe „zielone ludziki" mogą nosić zielone mundury któregoś ze światowych mocarstw, choćby zbrojących się na potęgę i wrogich Ameryce Chin.

Do tego dochodzi zwykłą chęć oszustwa - obliczono, że tylko w Stanach istnieje kilkaset stowarzyszeń, które stawiają sobie za cel propagowanie wiedzy o „pozaziemskich cywilizacjach", zalewających redakcje pism i periodyków rzekomymi dowodami na temat obecności UFO na Ziemi.

Być może Airborne Object Identification and Management Synchronization Group zajmować się będzie demaskowaniem tych fałszerstw. Gorzej, jeśli poczują w sobie moc Lyna Cassady'ego, bohatera „Człowieka, który gapił się na kozy"...

eprasa.pl 9875dceec8

W Polsce najniższe ceny paliw, ruszyła turystyka

Słubice

Z powodu obniżki cen na polskich stacjach ze strony Niemiec może się rozwinąć turystyka paliwowa - pisze niemiecki dziennik „Bild". We wtorek na stacjach w Słubicach było więcej klientów zza Odry. Na weekend niemiecka policja prognozuje korki w kierunku Polski. Przygraniczne stacje benzynowe po stronie niemieckiej obawiają się katastrofalnych konsekwencji takiej sytuacji - alarmuje „Bild".

Ceny paliwa w Polsce zmniejszyły się po wprowadzonej przez rząd od 1 lutego obniżce podatku VAT na paliwa.

„Litr benzyny super za 1,14 euro - tak tanio można zatankować w Słubicach tuż za przejściem granicznym. To przyciąga kierowców z Berlina i Brandenburgii. W Berlinie litr benzyny kosztuje średnio 1,65 euro" - napisał w środę niemiecki dziennik „Bild".

Według gazety od wtorku na stacjach w Słubicach zauważono zwiększony ruch klientów z Niemiec. „Dziś było o 20 proc. więcej klientów. W weekend liczę, że będzie nawet o 100 proc. więcej" - powiedział w rozmowie z dziennikiem Michał Koniuszkiewicz ze stacji Circle K w Słubicach.

Obniżka cen na stacjach w Polsce może spowodować rozwinięcie się turystyki paliwowej - prognozuje „Bild". Stacje benzynowe po stronie niemieckiej obawiają się z tego powodu katastrofalnych konsekwencji. Według Hansa-Joachima Rühlemanna, szefa niemieckiego Stowarzyszenia Branży Warsztatowej i Stacji Paliw Północny-Wschód, obecnie na niemieckich stacjach przygranicznych brakuje 70 procent klientów. Według Rühlemanna kilkaset niemieckich stacji benzynowych przy granicy z Polską obawia się o swoje istnienie. „Obecna sytuacja mocno uderza w stacje benzynowe w Niemczech. Musiałam już zmienić godziny otwarcia, bo po 18 prawie nikt nie tankuje" - mówi dziennikowi Stephanie Wellnitz-Kuhrau, która zarządza dwiema samoobsługowymi stacjami benzynowymi we Frankfurcie nad Odrą. „Z jednej strony obniżono VAT w Polsce, z drugiej wprowadzono podatek od CO2 w Niemczech. To w nas mocno uderza" - ocenia.

Wojciech Rogacin

Izba Dyscyplinarna SN do likwidacji

Warszawa

Lidia Lemaniak
lidia.lemaniak@polskapress.pl

Prezydent Andrzej Duda złożył projekt zmiany ustawy o Sądzie Najwyższym. Zgodnie z jego założeniami zlikwidowana ma zostać Izba Dyscyplinarna, co powinno odblokować wypłatę Polsce unijnych pieniędzy z Krajowego Planu Odbudowy.

FOT. ADAM JANKOWSKI

Prezydent: inicjatywa była oczekiwana także ze strony opozycji

- Składam do laski marszałkowskiej inicjatywę prezydencką zmiany ustawy o Sądzie Najwyższym - poinformował prezydent Andrzej Duda. P

Prezydent zaproponował, aby Izba Dyscyplinarna Sądu Najwyższego została zlikwidowana, a sędziowie, którzy w niej orzekają, mieli możliwość przejścia do innej izby lub w stan spoczynku. - Zostanie stworzona w Sądzie Najwyższym Izba Odpowiedzialności Zawodowej. Będzie składała się 11 sędziów - dodał. Andrzej Duda podkreślił, że projekt zmiany ustawy o Sądzie Najwyższym ma dać polskiemu rządowi narzędzie do zakończenia sporu z Komisją Europejską i odblokowania środków.

- Inicjatywa ta - jak się zorientowałem - była rzeczywiście na scenie politycznej oczekiwana i nawet ze strony tych polityków, którzy zaliczają się do opozycji, padły głosy takie, że „dobrze, że prezydent występuje z inicjatywą ustawodawczą", że właśnie głowa państwa, a więc niejako ktoś, kto obok tej sceny politycznej parlamentarnej stoi, występuje z inicjatywą, która zasadniczo zmierza do załatwienia dwóch dziś dla Polski bardzo ważnych spraw - mówił.

Andrzej Duda dodał, że „pierwsza to umożliwienie normalnego rozsądnego funkcjonowania odpowiedzialności zawodowej". - W zawodach prawniczych przede wszystkim, jeżeli chodzi o osoby, które należą do stanu sędziowskiego, kwestie tej odpowiedzialności poprzez wydarzenia ostatnich lat, poprzez działania, które były podejmowane przez instytucje europejskie, ale także poprzez działania, które były podejmowane wewnątrz kraju, były zaburzone i wielokrotnie kwestionowane - powiedział.

Dodał, że „to oczywiście nie przyczyniało się do porządku w naszym kraju, do stabilności funkcjonowania wymiaru sprawiedliwości, ale też rzeczy bardzo dla mnie ważnej - poczucia wśród obywateli - że ta odpowiedzialność zawodowa osób ze stanu sędziowskiego jest w sposób należyty, uczciwy i rzetelny egzekwowana". - Było to w ostatnim czasie bardzo często podważane i w moim osobistym przekonaniu wymaga to zdecydowanej naprawy - mówił.

W lipcu ubiegłego roku Trybunał Sprawiedliwości Unii Europejskiej nakazał Polsce zamrożenie działania Izby Dyscyplinarnej i pod groźbą kary odbierania środków unijnych. Komisja Europejska uzależniała od wykonania tego wyroku przez Polskę wypłaty pieniędzy z funduszu odbudowy po pandemii.

- Wiem, że na pewno będzie wiele krytyki wokół tego projektu, ale ktoś musiał się tego podjąć. Zdecydowałem się na to, tak jak niedawno zażegnałem spór z naszym wielkim sojusznikiem, Stanami Zjednoczonymi, który pojawił się wokół przestrzegania polsko-amerykańskiej umowy będącej bazą nowoczesnego rozwoju z początków transformacji o wzajemnej ochronie inwestycji - mówił prezydent.

MATERIAŁ POWSTAŁ WE WSPÓŁPRACY Z MINISTERSTWEM FINANSÓW I KRAJOWĄ ADMINISTRACJĄ SKARBOWĄ

0210406856

Seniorze, Polski Ład to konkretny zastrzyk pieniędzy w Twoim portfelu

Polski Ład to historyczna obniżka podatków, dzięki której w portfelach Polaków zostanie ok. 17 mld zł rocznie. To również realne wsparcie finansowe dla seniorów, których w jesieni życia często nie stać na godne życie. To wyraz naszej solidarności międzypokoleniowej i kolejne m.in. po 13. emeryturze działanie, które zapewni Ci wyższe świadczenia.

Emerytura i renta do 2,5 tys. zł bez PIT

Kwota wolna w wysokości 30 tys. zł powoduje, że emeryci i renciści, którzy pobierają świadczenia do 2500 zł brutto miesięcznie, nie będą płacili podatku PIT. W Polsce takich osób jest 6 mln. Przy wysokości świadczenia 2 500 zł brutto miesięcznie, roczny zysk to ok. 2250 zł, „na rękę". To niemal emerytura ekstra.

Wyższe emerytury i renty

Jeśli świadczenie wynosi do 4 290 zł brutto miesięcznie, seniorzy zyskają na Polskim Ładzie.

Emerytura brutto miesięcznie	Zysk roczny „na rękę"
1 800 zł	1 473 zł
2 500 zł	2 250 zł
3 000 zł	1 785 zł
3 500 zł	1 320 zł

Świadczenia powyżej 4 290 zł

Polski Ład ochroni również osoby, które otrzymują świadczenia od 4 920 zł aż do 12 800 zł brutto miesięcznie. Emerytury do tej kwoty otrzymuje aż 99,95 proc. seniorów w Polsce.

PIT-0 dla seniora

Podatkowy Polski Ład to również zachęta do kontynuacji pracy. Doświadczeni seniorzy, którzy mimo nabycia uprawnień do emerytury czasowo zrezygnują z jej pobierania i pozostaną aktywni zawodowo, będą mogli skorzystać ze specjalnej ulgi.

Takie osoby nie będą płacić podatku od przychodów z pracy na etacie, zleceniu lub działalności gospodarczej – do kwoty 85 528 zł rocznie.

Dodatkowo pracujący seniorzy, niepobierający emerytury i rozliczający się według skali podatkowej, będą płacić podatek dopiero po przekroczeniu 115 528 zł zarobków (30 tys. zł kwoty wolnej + 85 528 zł ulgi).

W sumie dzięki Polskiemu Ładowi, pracujący seniorzy zaoszczędzą w tym roku co najmniej 800 mln zł.

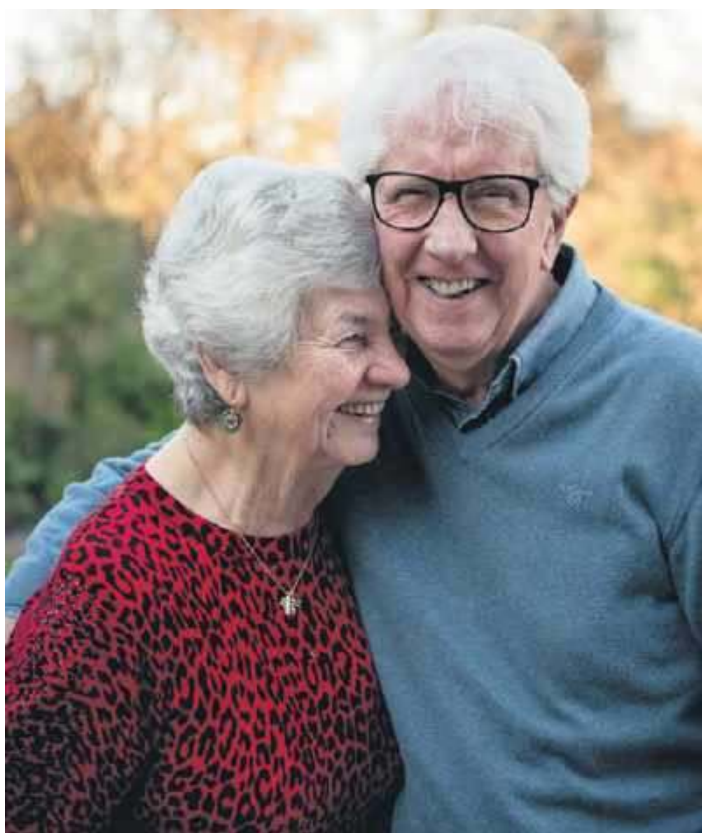

eprasa.pl 9875dceec8

Tajemnicza choroba dyplomatów wyjaśniona?

Waszyngton
Lidia Lemaniak
lidia.lemaniak@polskapress.pl

Niektórzy z tysiąca amerykańskich dyplomatów i oficerów wywiadu dotkniętych tajemniczą chorobą znaną jako syndrom hawański mogli być celem impulsów energii elektromagnetycznej - wynika z częściowo odtajnionego przez wywiad USA raportu.

„Impulsowa energia elektromagnetyczna, szczególnie w zakresie częstotliwości radiowych, wiarygodnie wyjaśnia ból ucha, zawroty głowy i inne objawy niektórych osób cierpiących na dolegliwości, które zostały po raz pierwszy zgłoszone przez amerykańskich dyplomatów w stolicy Kuby w 2016 roku" - twierdzą eksperci z rządu USA.

Panel ekspertów został zwołany przez dyrektora wywiadu narodowego Avril Haines i zastępcę dyrektora CIA Davida Cohena.

Podobne przypadki odnotowano w Rosji, Chinach, Tadżykistanie i niektórych krajach afrykańskich.

Odkrycia odzwierciedlają badanie Narodowej Akademii Nauk z 2020 roku i są następstwem tymczasowego raportu CIA z 20 stycznia, w którym stwierdzono, że jest mało prawdopodobne, aby Rosja lub inny zagraniczny przeciwnik stał za większością tzw. anomalnych incydentów zdrowotnych.

Raport CIA mówi jednak, że z tysiąca odkrytych przypadków niewyjaśnionych pozostało około 25.

Reuters odnotowuje, że opublikowany w środę raport nie skupiał się na tym, kto ponosi odpowiedzialność za tego rodzaju ataki na służby amerykańskie, ale jego wnioski prawdopodobnie podsycą frustrację wśród obecnych i byłych urzędników amerykańskich, którzy nie mają jasnego wyjaśnienia swoich chronicznych dolegliwości.

Odkrycia wzmacniają potrzebę skoordynowanego, całościowego podejścia rządowego - powiedział Mark Zaid, prawnik reprezentujący ofiary z wielu amerykańskich agencji rządowych. - Te fragmentaryczne recenzje agencji czasami ujawniają niespójne, a nawet sprzeczne wyniki - dodał.

Eric Lander, dyrektor Biura Polityki Naukowej i Technologicznej Białego Domu, przekazał w oświadczeniu, że panel ekspercki pracował przez prawie dziewięć miesięcy i był pierwszą z kilku grup ekspertów, które miały tak szeroki dostęp „do raportów wywiadowczych i danych pacjentów". Stwierdzili oni, że objawy „są prawdziwe i przekonujące" na podstawie raportów medycznych i wywiadów z lekarzami oraz ofiarami.

Osoby przypadkowo wystawione na działanie sygnałów energii elektromagnetycznej - które obejmują fale radiowe, mikrofale i promieniowanie rentgenowskie - zgłosiły dolegliwości podobne do objawów zgłaszanych przez ofiary syndromu hawańskiego.

Więcej wojsk USA w Europie - dyplomatyczna porażka Rosji

Waszyngton
Grzegorz Kuczyński
grzegorz.kuczynski@polskapress.pl

Decyzja Joe Bidena o wysłaniu paru tysięcy żołnierzy USA na wschodnią flankę NATO ma przede wszystkim znaczenie polityczne. To kolejny, być może jeden z ostatnich, z serii ciosów, jakie Zachód zadał Rosji w toczącej się dyplomatyczno-militarnej rozgrywce. Kreml stracił inicjatywę, którą miał jeszcze choćby w ubiegłym tygodniu.

FOT. ANDRZEJ SZKOCKI

Prezydent Joe Biden zapowiedział wysłanie dodatkowych oddziałów wojsk USA do Europy Wschodniej

Prezydent USA Joe Biden zatwierdził w środę przeniesienie kilku tysięcy dodatkowych żołnierzy amerykańskich na wschodnią flankę NATO. Około 2000 żołnierzy zostanie przeniesionych bezpośrednio z USA w najbliższych dniach, podczas gdy 1000 więcej, z tych obecnie stacjonujących w Niemczech, zostanie wysłanych do Rumunii - powiedział rzecznik Pentagonu John Kirby. To jasny sygnał pod adresem Rosji.

- Dyslokacja nie ma stałego charakteru, jest tylko odpowiedzią na obecne warunki - powiedział Kirby. Pytana o to, czy obecność tych sił będzie uzależniona od tego, czy Rosja wycofa swoje wojska skoncentrowane wokół Ukrainy, rzeczniczka Białego Domu Jen Psaki stwierdziła, że „jeśli prezydent Putin podejmie kroki w kierunku deeskalacji, z pewnością wpłynie to na nasze kalkulacje". Z drugiej strony, Psaki zasugerowała, że wkrótce może dojść do rozmieszczenia kolejnych sił USA w Europie na terytorium innych państw wschodniej flanki NATO.

Twarda postawa Zachodu, nie tylko w sferze retoryki, ale też konkretnych działań, zepchnęła Rosję do defensywy

- To całkowicie zgodne z tym, co mówiłem Putinowi od początku: tak długo, jak będzie działał agresywnie, zapewniamy, że będziemy w stanie uspokoić naszych sojuszników w NATO i Europie Wschodniej. Jesteśmy tam, artykuł V jest świętym zobowiązaniem - oświadczył Joe Biden. Oczywiście zwiększona obecność wojskowa USA w tej części kontynentu nie obroni Ukrainy, gdyby Rosja na nią napadła, ale pokazuje jedność NATO. Sygnalizuje Kremlowi, że ewentualna agresja na Ukrainę nie przyniesie kryzysu i załamania politycznej i wojskowej spójności NATO. Tym bardziej że decyzję o zwiększeniu sił rozmieszczonych na wschodniej flance NATO podjęło także wiele innych państw Sojuszu, choćby Wielka Brytania, Francja, Dania czy Holandia.

Pierwsze reakcje Rosji sugerują, że decyzja o rozmieszczeniu dodatkowych sił USA na wschodniej flance NATO to dobry ruch. Jeszcze do wieczora w środę nie było deklaracji kogoś z samego szczytu władzy, widać było, że toczą się rozmowy, jak zareagować. Jedynie zastępca szefa MSZ Aleksandr Gruszko powiedział agencji Interfax, że decyzja ta jest „nieuzasadniona" i że te „destrukcyjne kroki wzmacniają napięcie militarne i zawężają pole dla decyzji politycznych".

Wydaje się, że właśnie teraz - na Kremlu - rozstrzyga się, czy w Europie dojdzie do wojny czy nie. Zepchnięta do defensywy Rosja ma dwa wyjścia. Albo odpowie dalszą eskalacją, co w obecnej sytuacji oznacza tylko działania wojenne przeciwko Ukrainie, albo skorzysta z deski ratunkowej rzuconej przez Zachód w pisemnych odpowiedziach na rosyjskie żądania, jaką jest proces negocjowania kontroli zbrojeń, w tym np. umożliwienie Rosjanom inspekcji baz tarczy antyrakietowej w Polsce i Rumunii.

Twarda postawa Zachodu od początku stycznia, nie tylko w sferze retoryki, ale też działań (choćby dostawy uzbrojenia dla Ukrainy), obecna seria wizyt przywódców krajów NATO z konkretnym wsparciem, a także - bardzo ważna - twarda przecząca odpowiedź pisemna na rosyjskie żądania, zdecydowane ostrzeżenie liderów Zachodu w rozmowach z Putinem zepchnęły Rosję do defensywy. ©℗

NA ŚWIECIE

Quito
Powódź i osuwiska w Ekwadorze

Największe od niemal dwudziestu lat opady deszczu w stolicy Ekwadoru, Quito, wywołały powódź oraz błotne osuwiska. Bilans ofiar śmiertelnych w tym mieście wzrósł od wtorku z 14 do co najmniej 24 osób. Rannych jest ponad 50 mieszkańców Quito. Sześć osób nadal jest poszukiwanych. Woda sforsowała tamę i dokonała ogromnych zniszczeń, szczególnie w dwóch robotniczych dzielnicach ekwadorskiej stolicy - La Gasca i La Comuna. Błoto i kamienie zalały tam wiele domów i ulic. **(HR)**

Londyn
Koniec raportowania zachorowań na Covid

Najpóźniej do Wielkanocy brytyjski rząd chce zakończyć publikowanie codziennych statystyk dotyczących zakażonych, hospitalizowanych i zmarłych na Covid-19 - informuje dziennik „The i". Według rządu Johnsona wirusa SARS-CoV-2 nie da się całkowicie wyeliminować i trzeba go zacząć traktować jak sezonową grypę. W zeszłym tygodniu na Wyspach przestały obowiązywać niemal wszystkie restrykcje covidowe. **(HR)**

Waszyngton
Prezes CNN zrezygnował, bo nie ujawnił romansu

Prezes CNN Jeff Zucker zrezygnował z pracy po tym, jak nie ujawnił związku z podwładną - dyrektor wyższego szczebla - choć był o to pytany. Romans odkryto podczas śledztwa w sprawie zwolnionego prezentera CNN Chrisa Cuomo. 56-letni Jeff Zucker - uważany za jednego z najpotężniejszych szefów mediów w USA - napisał w wiadomości rozesłanej do pracowników sieci, że „pomylił się", nie zgłaszając związku zgodnie z wymaganiami korporacyjnymi. O to, czy jest z kimś związany, był pytany przez komisję prowadzącą postępowanie ws. zwolnienia prezentera CNN, Chrisa Cuomo. „Musiałem to ujawnić, kiedy to się zaczęło, ale tego nie zrobiłem" - napisał. - „Myliłem się. W rezultacie dzisiaj rezygnuję". Cuomo został zwolniony po deklaracji, że pomoże swojemu bratu - politykowi, b. gubernatorowi Nowego Jorku Andrew Cuomo, na którym ciążyły zarzuty o molestowanie seksualne. **(RS)**

Amsterdam
Ginekolog zapłodnił swym nasieniem co najmniej 21 pacjentek

Holenderski ginekolog Jos Beek zapłodnił swoim nasieniem co najmniej 21 pacjentek, które leczył z powodu niepłodności. Według wstępnych ustaleń do zapłodnień dochodziło w latach 1973-1998. Pary leczone przez Beeka chciały korzystać ze spermy od anonimowych dawców. Ginekolog używał własnego nasienia bez ich wiedzy i zgody. Dr Beek zmarł w 2019 roku. Sprawa ujrzała światło dziennie, gdy holenderska organizacja Fiom zajęła się wykrywaniem biologicznych rodziców osób urodzonych dzięki anonimowym dawcom nasienia. **(HR)**

Iskandery na zdjęciach satelitarnych rosyjskich obozów przy granicy

Moskwa
Grzegorz Kuczyński
grzegorz.kuczynski@polskapress.pl

Rosja nadal gromadzi siły przy granicach z Ukrainą, w tym na Białorusi. Potwierdzają to ostatnie zdjęcia satelitarne obozów polowych rosyjskiej armii. Niepokojąco brzmią też doniesienia o nietypowych ruchach Gwardii Narodowej.

Według amerykańskiej firmy Maxar, cytowanej przez CNN i Reutera, zdjęcia satelitarne wykonane w ostatniej dekadzie stycznia pokazują wzrost poziomu gotowości bojowej w porównaniu z poprzednią serią zdjęć opublikowanych 19 stycznia.

Na zdjęciach widać namioty wojskowe w obozach w zachodnich regionach Rosji, na anektowanym Krymie i na Białorusi, co oznacza, że przybywa tam nie tylko sprzęt wojskowy, ale także personel. Odnotowano również wzrost liczebności ugrupowania rosyjskiego na Białorusi. Na zdjęciach widać rosyjskie systemy rakietowe Iskander.

W dniach 10-20 lutego na Białorusi mają się odbyć zakrojone na szeroką skalę rosyjsko-białoruskie ćwiczenia. Rosyjskie ministerstwo obrony potwierdziło wysłanie tam rosyjskich wojsk i sprzętu, w tym z Dalekiego Wschodu. Ukraina i kraje zachodnie obawiają się jednak, że rosyjskie wojsko może zaatakować Ukrainę z terytorium Białorusi, jeśli Moskwa zdecyduje się na wojnę.

Analitycy z grupy Conflict Intelligence Team odnotowali w środę, że w ostatnich dniach zauważono na drogach i torach kolejowych w różnych regionach Rosji pojazdy oddziałów Gwardii Narodowej. Filmy zostały wykonane w obwodzie archangielskim i Karelii, czyli daleko od granic z Ukrainą - ale także w obwodach kałuskim, lipieckim i tulskim położonych nie tak znów daleko od Ukrainy.

„Dotychczas nie zaobserwowaliśmy rozmieszczenia Rosgwardii w obozach czy miejscowościach w pobliżu ukraińskich granic. Należy jednak zauważyć, że takie przesunięcie sił tej formacji jest dość nietypowe" - zauważa CIT, podkreślając, że w przypadku inwazji na Ukrainę na dużą skalę Rosgwardia mogłaby zostać wykorzystana do kontroli okupowanych miejscowości i linii zaopatrzenia.

Kraje zachodnie szacują, że w pobliżu granic Ukrainy skoncentrowanych jest ponad 100 tys. rosyjskich wojskowych. ©℗

eprasa.pl 9875dceec8

Anita Czupryn
anita.czupryn@polskapress.pl

Polityka

Prezydent Andrzej Duda złożył projekt zmiany ustawy o Sądzie Najwyższym. Zlikwidowana ma zostać Izba Dyscyplinarna SN, co powinno odblokować wypłatę Polsce unijnych pieniędzy z Krajowego Planu Odbudowy.

FOT. SEBASTIEN BOZON/AFP/EAST NEWS

Projekt zmiany ustawy o Sądzie Najwyższym ma dać polskiemu rządowi narzędzie do zakończenia sporu z KE i odblokowania środków

Prezydencki projekt ustawy o SN: Izba Dyscyplinarna do likwidacji

Składam do laski marszałkowskiej inicjatywę prezydencką zmiany ustawy o Sądzie Najwyższym - poinformował prezydent Andrzej Duda. Prezydent zaproponował, aby Izba Dyscyplinarna Sądu Najwyższego została zlikwidowana, a sędziowie, którzy w niej orzekają, mieli możliwość przejścia do innej izby lub w stan spoczynku. - Zostanie stworzona w Sądzie Najwyższym Izba Odpowiedzialności Zawodowej. Będzie składała się z 11 sędziów - dodał. Andrzej Duda podkreślił, że projekt ma dać polskiemu rządowi narzędzie do zakończenia sporu z Komisją Europejską i odblokowania środków.

- Inicjatywa ta - jak się zorientowałem - była rzeczywiście na scenie politycznej oczekiwana i nawet ze strony tych polityków, którzy zaliczają się do opozycji, padły głosy takie, że „dobrze, że prezydent występuje z inicjatywą ustawodawczą", że właśnie głowa państwa, a więc niejako ktoś, kto obok tej sceny politycznej parlamentarnej stoi, występuje z inicjatywą, która zasadniczo zmierza do załatwienia dwóch dziś dla Polski bardzo ważnych spraw – mówił prezydent.

Andrzej Duda dodał, że pierwsza z nich to umożliwienie „rozsądnego funkcjonowania odpowiedzialności zawodowej". - W zawodach prawniczych przede wszystkim, jeżeli chodzi o osoby, które należą do stanu sędziowskiego, kwestie tej odpowiedzialności poprzez wydarzenia ostatnich lat, poprzez działania, które były podejmowane przez instytucje europejskie, ale także poprzez działania, które były podejmowane wewnątrz kraju, były zaburzone i wielokrotnie kwestionowane - powiedział.

Zakończenie sporu z KE?

Prezydent dodał, że to ważne, by z punktu widzenia stabilności funkcjonowania wymiaru sprawiedliwości, ale i poczucia obywatelski, że odpowiedzialność zawodowa sedziów jest w sposób należyty, uczciwy i rzetelny egzekwowana.

- Było to w ostatnim czasie bardzo często podważane i w moim osobistym przekonaniu wymaga to zdecydowanej naprawy – mówił prezydent.

Duda podkreślił, że projekt zmiany ustawy o Sądzie Najwyższym ma dać polskiemu rządowi narzędzie do zakończenia sporu z Komisją Europejską i odblokowania środków z KPO.

- Wiem, że na pewno będzie wiele krytyki wokół tego projektu, ale ktoś musiał się tego podjąć. Zdecydowałem się na to, tak jak niedawno zażegnałem spór z naszym wielkim sojusznikiem, Stanami Zjednoczonymi, który pojawił się wokół przestrzegania polsko- amerykańskiej umowy będącej bazą nowoczesnego rozwoju z początków transformacji o wzajemnej ochronie inwestycji - mówił prezydent.

Działalność Izba Dyscyplinarna Sądu Najwyższego rozpoczęła w marcu 2019 roku; z własnym budżetem i administracją, a Pierwszy Prezes Sądu Najwyższego nie sprawował nad nią kontroli. Kontrowersje budził fakt, że członkowie izby byli rekomendowani przez nową KRS.

Latem 2021 roku prezes PiS Jarosław Kaczyński zapowiadał likwidację Izby, w podobnym tonie wypowiadał się też premier Mateusz Morawiecki. Minister Zbigniew Ziobro stał z kolei na stanowisku, że nie powinniśmy ulegać orzeczeniom TSUE, uznając, że są to działania sprzeczne z polskim prawem.

Ponieważ Trybunał Sprawiedliwości Unii Europejskiej w lipcu ubiegłego roku potwierdził to, co wcześniej wnosiła Komisja Europejska – że przepisy dotyczące funkcjonowania Izby Dyscyplinarnej są niezgodnie z prawem unijnym i nakazał Polsce zamrożenie jej działania, pod groźbą kary odebrania środków unijnych. Następnie w wyroku z dnia 15 lipca 2021 roku TSUE podważył legalność Izby Dyscyplinarnej i legalność systemu dyscyplinowania sędziów. Komisja Europejska uzależniała od wykonania tego wyroku przez Polskę wypłaty pieniędzy z funduszu odbudowy po pandemii. Izba Dyscyplinarna nie została jednak zlikwidowana. Zgodnie z orzeczeniem TSUE wydanym w październiku 2021 roku, Polska ma płacić pół miliona euro kary dziennie.

Różne opinie w obozie rządzącym

Ministerstwo Sprawiedliwości, kierowane przez polityków Solidarnej Polski kwestionuje argumentację prezydenta. Marcin Warchoł, bliski współpracownik Zbigniewa Ziobry powiedział w czwartek, żeustawa w kształcie proponowanym przez prezydenta może wcale nie załatwić sprawy sporu z Unią, a dodatkowo spowolnić postępowania.

– Po pierwsze - dlatego, że ustawa wprowadza mechanizm weryfikacji sędziów z perspektywy ich praworządności. Jest obecnie 1500 sędziów powołanych z udziałem demokratycznej KRS, którzy wydali około miliona orzeczeń. Wszystkie te orzeczenia mogłyby być kwestionowane. To gigantycznie wydłużyłoby postępowania i stworzyło niepewność prawa. Sędziowie zamiast rozpatrywać sprawy zwykłych ludzi, do czego są powołani, będą zajmować się sami sobą, tj. badaniem swojego statusu tłumaczy.

Zupełnie innego zdania jest Marek Ast. Poseł PiS podkreśla, że jeżeli są zastrzeżenia do Izby Dyscyplinarnej i padły deklaracje ze strony premiera, i prezesa PiS o konieczności zmian, a wręcz jej likwidacji, to ta inicjatywa wychodzi tym oczekiwaniom naprzeciw. Przypomina, że równolegle kompleksowe prace nad projektami dotyczącymi reformy wymiaru sprawiedliwości toczą się w Ministerstwie Sprawiedliwości i stanowisko ministra Zbigniewa Ziobry będzie w tej sprawie z całą pewnością istotne.

– Projekt prezydencki rozpoczyna dyskusję i myślę, że skoro trafia do laski marszałkowskiej, będzie procedowany, a jeżeli MS będzie miało swoje propozycje, one też na pewno będą brane pod uwagę – wskazuje przewodniczący sejmowej Komisji Sprawiedliwości i Praw Człowieka. – Z całą pewnością, jest to w jakimś sensie projekt oczekiwany, ze względu właśnie na te wcześniejsze deklaracje, które z obozu Zjednoczonej Prawicy padały. Były też oczekiwania ze strony środowiska sędziowskiego.

Nezgodę między Solidarną Polską a PiSem próbuje łagodzić poseł tego pierwszego ugrupowania Tadeusz Cymański. – Prezydent podejmuje różne decyzje, różne inicjatywy, które dowodzą, że jest prezydentem autonomicznym, wbrew różnym opiniom i złośliwym komentarzom, że jest narzędziem w ręku rządzących. To nieprawda! Pamiętajmy, że niedawno zawetował „lex TVN" – mówi.

I dodaje: – Prezydent jest też prawnikiem, ma swoje zaplecze. Jestem ciekawy, co się znajduje w tym projekcie. Polska już kilka razy dała przykład, że jest gotowa do kompromisów, natomiast oczekujemy tego samego od strony unijnej.

Opozycja się przygląda

Na rolę Zbigniewa Ziobry w całej sprawie zwraca uwagę Krzysztof Paszyk z PSL, który podkreśla, że to jego zdanie kreuje polityczną perspektywę prezydenckiej propozycji. – Moje pierwsze pytanie, jakie się rodzi, to czy pan prezydent będzie miał poparcie swojego zaplecza politycznego, które uczyniło go prezydentem, bo tu nie mamy pewności, a ja chciałbym to wiedzieć – mówi nam poseł PSL. Paszyk podkreśla, iż nie jest tajemnicą, że relacje pomiędzy panem prezydentem Dudą a ministrem Ziobrą nie są najlepsze, zaś w tej sprawie mają diametralnie różne zdania. – Myślę więc, że to między tymi dwoma panami jest kluczowa kwestia, a potem możemy rozmawiać o szczegółach – dodaje parlamentarzysta.

Dla posła Krzysztofa Gawkowskiego, wiceprzewodniczącego Nowej Lewicy decyzja prezydenta nie budzi zdziwienia.

- Prezydent zapowiedział to podczas ostatniego posiedzenia Rady Bezpieczeństwa Narodowego, tylko prosił, aby o tym nie mówić – mówi Krzysztof Gawkowski. – Mam nadzieję, że zapowiadane przez prezydenta zmiany będą rzeczywiście wyczerpywały orzeczenie Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej, że Izba Dyscyplinarna zostanie zlikwidowana. Trzeba ją zlikwidować, dlatego, że to powinno odblokować pieniądze z Unii Europejskiej. Jednocześnie mam nadzieję, że to nie będzie jakiś potworek prawny, który zamieni mniejsze zło na gorsze zło, czyli zostaną wprowadzone jakieś inne, gorsze przepisy; że nie będzie tam żadnych kruczków prawnych. Na razie patrzę na to z przychylnością, ale czekam na konkrety – mówi Gawkowski.

Europoseł Robert Biedroń uważa, że projekt prezydenta Andrzeja Dudy to bardzo dobry krok. – Wiemy dobrze, że likwidacja Izby Dyscyplinarnej i uporządkowanie sędziów, którzy niezgodnie z procedurami zostali powołani, jest wymogiem otrzymania środków unijnych - mówi, ale i zgłasza zastrzeżenia. –W mojej ocenie, po pierwsze, to jest zasłona dymna, po drugie – co z tymi sędziami? Czy oni przejdą do innych sądów i dalej będą orzekać? Oczekiwanie TSUE jest takie, aby uporządkować kwestie związane z nielegalnie powołanymi sędziami. Chciałbym więc wiedzieć, jaki prezydent ma na to pomysł. Ale na pewno tego typu ruchy są potrzebne. Pytanie, kiedy ta ustawa będzie procedowana i jak szybko, bo chodzi przede wszystkim o środki unijne.

Poseł PO Michał Szczerba uważa z kolei, że propozycja prezydenta Dudy to mocno spóźnione działania, które kosztowały Polskę setki milionów złotych. – To gaszenie pożaru w relacjach z Unią Europejską, bo skarbiec państwa okazał się pusty i środki z Funduszu Odbudowy są na wagę złota – to po pierwsze. Po drugie żądanie likwidacji Izby Dyscyplinarnej od miesięcy było postulatem opozycji. Gdyby ten głos chciano usłyszeć, nie musielibyśmy teraz ponosić kar finansowych – ocenia.

Szczerba dodaje, że PO przyjrzy się dokładnie zapiosom proponowanym przez prezydenta. – Nie poprzemy go w ciemno; w szczególności nie ma naszej zgody na utrzymanie statusu sędziów przez osoby zasiadające w Izbie Dyscyplinarnej, którzy nie są sędziami w rozumieniu prawa krajowego i europejskiego – zapowiada. Wtóruje mu partyjny kolega z europarlamentu Andrzej Halicki: – Nie chodzi o to, żeby się przefarbować, tylko o to, żeby zmienić sposób działania i funkcjonowania całego systemu sprawiedliwości.

eprasa.pl 9875dceec8

Na górskim szlaku najważniejszy jest zawsze zdrowy rozsądek

Kiedy decydujemy się na wyjście w góry, sprawdźmy prognozę pogody, weźmy do plecaka zapasową czapkę, rękawiczki, latarkę, mapę, termos z ciepłą herbatą i tabliczkę czekolady. Wgrajmy do telefonu aplikację RATUNEK. Nie szarżujmy - zimą chodzi się po górach znacznie trudniej niż latem

Dorota Kowalska
d.kowalska@polskatimes.pl

Góry

Górale zacierają ręce i liczą dudki, ale też ferie zimowe to najlepszy czas, żeby poszusować na nartach, napić się ciepłej herbaty w schronisku albo po prostu pochodzić po górach.

- Tak naprawdę dużo więcej pracy mamy już od świąt Bożego Narodzenia. Potem jest Święto Trzech Króli i zaraz zaczynają się ferie zimowe, w tym okresie w góry przyjeżdża dużo więcej osób - przyznaje Sławomir Czubak, naczelnik grupy karkonoskiej GOPR. - W tym roku jest o tyle trudniej, że bardzo dynamicznie zmienia się pogoda - dodaje.

Nie tylko w Karkonoszach, podobnie jest w Tatrach czy Beskidach. W nocy z wtorku na środę potężna lawina śnieżna zeszła z Marchwicznego Żlebu i do Morskiego Oka. Gdyby doszło do tego w ciągu dnia, pewnie zginęłoby wiele osób, bo zwały śniegu przetoczyłyby się przez tzw. Ceprostradę, czyli popularny żółty szlak turystyczny prowadzący znad Morskiego Oka na Szpiglasową Przełęcz. W sobotę, 29 stycznia, lawina przysypała narciarza w rejonie Kasprowego Wierchu. Na pomoc zasypanemu wyruszyli ratownicy dyżurujący na Kasprowym Wierchu oraz w Dolinie Gąsienicowej. Z Zakopanego wystartował śmigłowiec policyjny, który zastępuje maszynę TOPR. Mimo szybkiej akcji poszkodowany zmarł po przetransportowaniu do szpitala. Niemal w tym samym czasie ratownicy zostali wezwani do Doliny Pięciu Stawów Polskich, gdzie lawina śnieżna, schodząc ze zboczy Kosturów, porwała dwie osoby. Jeden z poszkodowanych zdołał sam się uwolnić spod śniegu. Drugą osobę lawina porwała aż do wód Czarnego Stawu Polskiego. Ratownikom nie udało się jej uratować.

Dzień później 18-letni turysta zaginął podczas zamieci śnieżnej w lasach Beskidu Śląskiego. Przyjechał w góry na ferie zimowe. Panowały bardzo trudne warunki: wiał silny wiatr, padał śnieg. Młodego mężczyzny szukali ratownicy z Górskiego Ochotniczego Pogotowia Ratunkowego i policjanci z Samodzielnego Pododdziału Prewencji Policji w Bielsku-Białej. Wreszcie udało się skontaktować telefonicznie z nastolatkiem. Ten nie potrafił jednak dokładnie określić swojego położenia, stracił orientację w terenie. Komendant Komisariatu Policji w Szczyrku polecił mu zainstalować aplikację RATUNEK, pozostać na miejscu i czekać. Udało się ustalić, gdzie znajduje się nastolatek. Został na noszach sprowadzony przez ratowników do doliny. 22 stycznia trójka turystów utknęła w rejonie wierzchołka Kopy Kondrackiej, nie mieli odpowiedniego wyposażenia i przygotowania. Wyruszyło po nich czternastu ratowników. Tyle że wiał silny wiatr, w każdym momencie mogła zejść lawina. Za pomocą drona dostarczono turystom koce termiczne oraz pakiety grzewcze. Kolejni ratownicy ruszyli po uwięzioną trójkę w sobotę nad ranem, dotarli do niej w południe.

„W zaskakująco dobrej formie zostali sprowadzeni do Doliny Kondratowej i dalej skuterami śnieżnymi oraz samochodami zostali przetransportowani do Zakopanego" - czytamy w komunikacie TOPR. W akcji wzięło udział dwudziestu ośmiu ratowników, zakończyła się o godz. 16.

Ostatnio internet obiegło nagranie, na którym widać dzieciaka zjeżdżającego na sankach ze Śnieżki. Asekuruje go dorosły, ale w takim miejscu do tragedii mogło dość w każdej chwili. W sieci zawrzało.

„Jeszcze zjazd na jabłuszkach i innych ustrojstwach. Moim zdaniem powinien być zakaz wchodzenia z czymś takim. Nie dość, że sobie krzywdę może zrobić, to jeszcze wlecieć w inną osobę" - zauważył jeden z internautów. Inny: „No nie wierzę. Wielu dziwnych ludzi, sytuacji już widziałem. Wydawało mi się, że widziałem już wszystko, ale rodzica z dzieckiem na sankach na Śnieżce to w snach bym sobie nie wyobraził".

- W górach pokrywa śnieżna nie jest na tyle wystarczająca, żeby przykryć wszelkiego rodzaju kamienie i korzenie.

FOT. ŁUKASZ BOBEK

Aplikacja RATUNEK wgrana w telefon ułatwia ratownikom zlokalizowanie poszkodowanego

Skutki takiej jazdy mogą być dramatyczne - przestrzega przed tego typu praktykami Sławomir Czubak, naczelnik grupy karkonoskiej GOPR.

I wylicza najczęstsze grzechy turystów.

Grzech pierwszy: Ludzie ruszają w góry i nie sprawdzają prognozy pogody. Patrzą w niebo, świeci słońce, więc ubierają buty i ruszają przed siebie.

- Przykład z poniedziałku. Od rana szły alerty, że około godz. 14 zmieni się pogoda, mówiły o tym wszystkie prognozy. Miało padać i silnie wiać. Zresztą silny wiatr ma utrzymywać się w górach do końca tygodnia. Tymczasem my ruszyliśmy po czwórkę turystów, która utknęła w górach. Kiedy do nich dotarliśmy, byli zdziwieni, że wyłączono wyciąg, nie spodziewali się, że warunki tak się pogorszą. Byli zupełnie nieprzygotowani - opowiada Czubak.

Grzech drugi: Turyści są nieodpowiednio ubrani. Wchodzenie na szlaki w klapkach czy butach na obcasach to skrajne przypadki, chociaż takie też się zdarzają. Tymczasem do górskiej wycieczki w zimie trzeba naprawdę dobrze się przygotować.

Nie przeceniajmy swoich sił. Ratownicy podkreślają, że zanim wyruszymy w góry zimą, trzeba zadbać o kondycję fizyczną

Grzech trzeci: Brak racjonalnego myślenia.

„Niestety, nowoczesność ma drugą, ciemną stronę - psuje ludzi, rozleniwia ich i sprawia, że często nie potrafią realnie ocenić sytuacji, a co za tym idzie, mają nierealne wymagania" - pisze Beata Sabała-Zielińska w swojej nowej książce „TOPR. Żeby inni mogli przeżyć".

Świat idzie naprzód. Czasy telefonów na korbkę w schroniskach górskich i awaryjnych radzieckich UAZ-ów, którymi jeździło GOPR, już się na szczęście definitywnie skończyły. Dziś mamy błyskawiczną formę powiadamiania o wypadkach za pomocą telefonów komórkowych, które ma w kieszeni każdy turysta, a polskie ratownictwo górskie jest obecnie jedną z najlepiej wyszkolonych i wyposażonych służb specjalistycznych na świecie. Dysponuje skuterami śnieżnymi, quadami, nowoczesnymi samochodami terenowymi 4x4 i śmigłowcem. Górscy ratownicy ochotnicy stanowią 90 procent składu kadrowego GOPR i TOPR, 10 procent to ratownicy zawodowi. Nie mają najlepszego zdania o ludziach, którzy chodzą po górach.

„W dawnych czasach turysta, który nie przygotował się do wycieczki górskiej, ponosił tego konsekwencje. (...) Teraz jeszcze się dobrze nie ściemni, a turyści już wyjmują komóreczki i dawaj dzwonić do TOPR-u z prośbą o ratunek, przy czym ratunek ma polegać na oświetleniu im drogi. „I to są sytuacje, w których my dostajemy szału - przyznają ratownicy - bo to jest dokładnie tak, jakby ktoś, komu uciekł w nocy autobus, zadzwonił na pogotowie ratunkowe z żądaniem odstawienia go do domu z racji tego, że jest ciemno, zimno i żona się niepokoi" - pisze Beata Sobala-Zielińska. I dalej cytuje ratowników TOPR-u, którzy podzielili turystów na grupy. Ich nazwy mówią same za siebie: roszczeniowy żółtodziób, profesjonalny leń, meteorolodzy telefoniczni, przemądrzali gapie.

Mimo to nie mają wątpliwości - jeśli tylko ktoś potrzebuje pomocy, ruszają. Kiedyś zapytałam Piotra van der Coghen, twórcę i pierwszego naczelnika Grupy Jurajskiej GOPR, dlaczego góry i ratowanie ludzi, odpowiedział tak: - To proste. Jestem rodowitym góralem i jak każdy chyba góral kocham góry, a jak jestem daleko od nich, to tęsknię. Jeśli zaś chodzi o ratownictwo, to myślę, że na moim życiu zaważył pewien epizod z dziecięcych czasów. Pewnego późnego wieczoru, gdy nasz drewniany dom w górach uginał się pod wściekłym naporem wichury, szyby okien zaklejała śnieżyca, a dzieci spały, usłyszeliśmy z moim rodzeństwem, w naszym ciemnym pokoju, jakiś gwar w kuchni. Gdy trzasnęły drzwi za wychodzącymi, zapytaliśmy mamę, co to było. Ona odpowiedziała, że panowie przyszli po ojca, bo ktoś złamał nogę w górach i trzeba mu iść na ratunek. Gdy chuchając w szybki, wyjrzeliśmy przez ono, zobaczyliśmy w mroku oddalające się w zamieci pochodnie i niosące je zakapturzone postaci targane wichurą. Ja, kilkuletni brzdąc, pomyślałem sobie wtedy, z podziwem, że ci panowie są tak niesamowicie dzielni jak rycerze, którzy walczą w bajkach ze smokami. I tak mi zostało. Przez wiele lat przyszło mi walczyć ze „smokami", którymi w górach są: cierpienie i strach, będące udziałem każdego człowieka, którego tam spotkał wypadek...

Choć coraz częściej trzeba wychodzić w góry i ratować ludzi, Piotr van der Coghen tłumaczył, że paradoksalnie wypadki w górach zdarzają się w sumie dość rzadko, więc górski dyżur ratowniczy to tak naprawdę dość nudne i długotrwałe oczekiwanie w gotowości. Dopiero gdy dojdzie do zdarzenia, sytuacja wymaga zmobilizowania maksymalnych sił dyżurującego. Oczywiście, ratownicy podczas dyżuru latem czy zimą mogą wyjść na patrol, ale niezbyt daleko i niezbyt forsownie, bo przecież mają być gotowi do akcji (a więc w pełni sił fizycznych i psychicznych, i o każdym czasie). Rzecz jasna potencjalna możliwość wyprawy ratunkowej rośnie wraz z poprawą pogody, która kusi turystów do wypraw górskich, a niestety często też do podejmowania zbędnego ryzyka. Z kolei największy spokój w górach jest wówczas, gdy pogoda jest najbardziej parszywa z możliwych, ale ona wtedy i ratowników nie zachęca do szczególnej aktywności treningowej. Inną sytuację mamy w maleńkich Tatrach, które wciąż przeładowane turystami i miłośnikami ekstremalnych wrażeń, na niewielkim w sumie obszarze, generują o każdym czasie i pogodzie niezwykle szeroki wachlarz zdarzeń. Cza-

eprasa.pl 9875dceec8

sem dramatycznych, czasem wręcz absurdalnych.

Służba górska jest w różnych jednostkach ratownictwa górskiego w Polsce, od Karkonoszy po Bieszczady, dość różnie zorganizowana. Są centrale oddziałów terenowych GOPR i TOPR, w których kilkuosobowy zespół dyżurny przebywa w obiekcie przez całą dobę i jest gotów zareagować na wezwanie bardzo szybko, ale są też Centralne Stacje Ratunkowe, w których jest prowadzony jedynie całodobowy dyżur przy telefonach jednego ratownika, który, gdy zgłoszenie wypadku bądź zaginięcia przyjdzie np. w nocy, dzwoni po innych ratowników, którzy śpią w tym czasie w swych domach i dopiero zaalarmowani przyjeżdżają do centrali, z której po zabraniu sprzętu wyruszają do akcji.

Numer telefonu alarmowego do GOPR i TOPR (601 100 300) jest powszechnie znany, więc osobami najczęściej zawiadamiającymi o wypadku są turyści bądź narciarze - świadkowie nieszczęśliwego zdarzenia w górach, a o zaginięciu turysty, narciarza czy grotołaza najczęściej zawiadamia zaniepokojona rodzina, która do późnej nocy nie doczekała się jego powrotu. Pewnym nowoczesnym novum jest wprowadzona niedawno do użycia w telefonach komórkowych aplikacja RATUNEK, która w razie wypadku bądź zaginięcia znacznie ułatwia ratownikom zlokalizowanie poszkodowanego w terenie górskim, w którym nie da się przecież jak w mieście określić miejsca poprzez podanie numeru domu i mieszkania, w którym przebywamy.

- Zawsze, zanim ruszymy w góry, sprawdźmy prognozę pogody. Także tę dzień do tyłu, żeby wiedzieć na przykład, czy świeży śnieg nie przykrył warstwy lodu. Kolejna rzecz: przygotujemy się kondycyjnie. Zimowa turystyka górska może być fajna, intymna, ale pamiętajmy, że trasę, którą w lecie pokonujemy w trzy godziny, w zimie, jeśli spadnie pół metra śniegu, pokonamy w 12 godzin. Nie stawiajmy sobie zbyt ambitnych celów - radzi Sławomir Czubak. I bardzo ważna rzecz: wyposażenie. Zimą bardzo łatwo wpaść w hipotermię, wychłodzić organizm, więc w plecaku warto mieć zapasową czapkę, rękawiczki, jakąś chustę. Trzeba ubierać się na cebulkę. Mieć przy sobie mapę i naładowany telefon komórkowy z wgraną aplikacją RATUNEK. Warto wziąć latarkę czołową, termos z ciepłą herbatą, jakąś czekoladę albo suszone owoce. Apteczkę. Jeśli jest twardo, trzeba wyposażyć się w raki albo raczki.

- Ludzie muszą zdawać sobie sprawę, że w pewnych sytuacjach, przy takich, a nie innych warunkach pogodowych ratownicy mogą do nich iść nawet przez parę godzin - tłumaczy Sławomir Czubak.

Bo akcje w górach bywają dramatyczne. Jak chociażby ta z nocy z 30 na 31 grudnia 2016 roku, kiedy przez 13 godzin, na wysokości 2100 metrów, przy kilkunastostopniowym mrozie dwudziestu trzech ratowników próbowało pomóc turyście ze Śląska, który wisiał nieprzytomny na linie nad przepaścią.

Około godz. 17.30 do centrali TOPR dotarło zgłoszenie. Telefonował jeden z trójki turystów, którzy schodzili z rejonu Przełęczy pod Chłopkiem.

Wszyscy spadli na stronę kotła Kazalnicy. Nie polecieli w przepaść, ale zatrzymali się na małym wystającym kamieniu. Mężczyźni byli związani liną. Gdy jeden z nich się pośliznął, pociągnął za sobą pozostałych. Gdy spadli, jeden z turystów zawisł na linie, która zahaczyła o wystający kamień. Dwóch pozostałych zatrzymało się po drugiej stronie kamienia tak, że obaj trzymali na linie wiszącego kolegę.

Na miejsce natychmiast ruszyło dwóch ratowników ze schroniska w Morskim Oku. Z kolei z centrali TOPR w Zakopanem wyjechały dwa samochody z kolejnymi 15 ratownikami. Ratownicy z Morskiego Oka jako pierwsi dotarli do poszkodowanych. Pomogli oswobodzić się dwóm turystom z lin i przejęli ciężar zawieszonego wędrowca. W tym czasie dotarła do nich 15-osobowa grupa ratowników. Dwóch turystów, którzy zostali oswobodzeni z lin, było w na tyle dobrym stanie, że przy pomocy ratowników zeszli do schroniska w Morskim Oku. Z kolei do wiszącego turysty dotarli ratownicy medyczni TOPR-u. Poruszał się, ale był nieprzytomny. Wisiał głową w dół, trzymany za uprząż, która z pasa zjechała mu do stóp. Z mężczyzną nie było kontaktu, był mocno wychłodzony. Ratownicy musieli zapakować poszkodowanego do noszy, a potem w jakiś sposób spuścić do podstawy Kazalnicy, żeby rozpocząć transport do szpitala. W tym czasie okazało się, że serce turysty zatrzymało się. Akcja reanimacyjna była prowadzona przez kolejnych pięć godzin. Wtedy z krakowskiego Centrum Leczenia Hipotermii Głębokiej dotarła do Zakopanego grupa lekarzy ze specjalistycznym sprzętem do pozaustrojowego ogrzewania organizmu. Czekali, by przejąć pacjenta. Pomagają Słowacy. W trakcie ściągania poszkodowanego ze ściany Kazalnicy ratownikom udało się wypatrzyć słowacki śmigłowiec, który w Tatrach słowackich szukał zaginionego. Polacy poprosili o pomoc kolegów. Słowacka maszyna, która może latać w nocy, zabrała rannego do szpitala w Zakopanem. Niestety, turysta zmarł.

Jedną z największych akcji ratowniczych była ta w Białym Jarze, kiedy to 20 marca 1968 roku zeszła tam lawina, porywając 24

Turyści muszą pamiętać, że jeśli coś się stanie, jeśli utkną w górach, ratownikom dojście do nich może zająć nawet parę godzin

osoby idące dnem Białego Jaru w Karkonoszach. Pięć osób lawina odrzuciła w bok, udało się je uratować; pozostałych dziewiętnaście, w tym Rosjan, obywateli NRD i Polaków, porwała ze sobą. Akcja ratownicza prowadzona była przez polski GOPR, czeskich ratowników i ochotników: studentów, mieszkańców Karkonoszy - brało w niej udział łącznie 1100 osób. Ostatnie ciała ofiar znaleziono dopiero w kwietniu.

Kilka dni temu minęło dokładnie 19 lat od dnia, kiedy licealiści z Tych pod opieką nauczyciela wybrali się na Rysy. 28 stycznia 2003 roku lawina porwała trzynastu uczestników wycieczki. Ośmioro zginęło - sześcioro z nich zostało wtłoczonych wraz z masami śniegu pod lodową taflę Czarnego Stawu, a ich ciała wydobyto dopiero wiosną, gdy puściły lody.

Piotr van der Coghen opowiadał mi swego czasu o zimowej akcji sprzed lat, gdy mocno wstawiona obsługa jednego z wyciągów powiadomiła go po zmroku, że wydawało im się, iż w jarze za wyciągiem coś jęczało. Fakt, że „wydawało im się" oraz to, że po pracy byli wstawieni, nie było zbyt wiarygodne, ale postanowił to sprawdzić. Mimo ciemności, wichury i mgły znalazł ku swemu zaskoczeniu ranną dziewczynkę, uczestniczkę jakiegoś obozu narciarskiego. Leżała poza trasą w potoku z połamanymi nogami. Była już nieprzytomna, a on był sam i zdawał sobie sprawę, że jeśli pójdzie, brnąc w zaspach, szukać gdzieś pomocy nocą, to ona w tym czasie na mrozie wychłodzi się i umrze. Nie wie dziś, skąd wówczas znalazł siły, żeby ją stamtąd na toboganie, samotnie po zlodowaciałym zboczu wydźwigać na trasę i zwieźć na dół, do schroniska, gdzie doczekali się karetki pogotowia. Odmroził sobie wtedy ręce, co dolega mu do dziś, ale ma satysfakcję, że, jak mówi, wykręcił śmierci figla, bo ta dziewczynka tam, w niebie, na pewno już miała „zaklepaną miejscówkę".

Ale prawda jest też taka, że, jak przyznaje Sławomir Czubak, uratowani turyści coraz częściej mówią: „dziękuję". Zwłaszcza jeśli zdają sobie sprawę, że ratownicy narażali dla nich swoje życie.

REKLAMA 0110388716

WYSZUKAJ W NTC KANAŁ TESTOWY SPRAWDZAM TV
LUB WEJDŹ NA TELEWIZJANAZIEMNA.PL

eprasa.pl 9875dceec8

Pekin 2022. Sztuczny śnieg, obostrzenia i symboliczny bojkot

Andrzej Dworak
redakcja@polskatimes.pl

Igrzyska olimpijskie

Symbolem igrzysk organizowanych przez Chiny mógłby być... Mariusz Dmochowski z filmu „Piłkarski poker". Dmochowski grał wszechwładnego prezesa klubu „Powiśle" Kmitę, który wiedział, jak się załatwia sukces. Kiedy podwładny Kmity rzucił zrezygnowany w obliczu trudności w zakulisowym przepchnięciu niecnych zamiarów: „W końcu to jest sport", prezes spojrzał na niego z oburzeniem i wycedził: „Jaki sport???!!!". Chińskim przywódcom o sport chodzi mniej więcej tak, jak prezesowi Kmicie, mają to gdzieś... na czwartym miejscu - ważniejsze są pieniądze, władza i prestiż. Witamy na olimpiadzie w Pekinie!

Naturalnego śniegu brak - jest za to sztuczny. Dyscypliny sportów zimowych są w Chinach niezbyt popularne, a na sukcesy miejscowych zawodników - poza łyżwiarstwem - trudno liczyć... Dlaczego więc zimowe igrzyska olimpijskie odbywają się akurat w górach niedaleko Pekinu?

Dokładną odpowiedź znają tylko członkowie MKOl, a my możemy się domyślać, że byłaby ona podobna do tej udzielonej przez FIFA na temat piłkarskich mistrzostw świata w Katarze, w której nie byłoby wzmianki o niewolniczej pracy budujących stadiony. A w stosunku do Chin, nie mówi się o ucisku wobec etnicznych mniejszości czy o aresztowanych opozycjonistach. Ba, nie mówią o tym także działacze narodowych federacji sportowych, biorących udział w igrzyskach, choć przez jakiś czas było głośno o bojkocie chińskiej olimpiady. Ostatecznie sportowcy zjechali do Pekinu i niedługo - w dniach 4-20 lutego - staną na starcie.

FOT. SEBASTIEN BOZON/AFP/EAST NEWS

Zidentyfikowano już ponad 100 przypadków pozytywnych wyników testów u przybyszy i skierowano ich na izolację

Igrzyska pod znakiem propagandy i pandemii

Chińczycy jeszcze przed otwarciem igrzysk w Pekinie ogłosili sukces. Jak rozpoznał to chiński narodowy instytut statystyczny, zainteresowanie sportami zimowymi w tym kraju wzrosło skokowo - sporty zimowe uprawia już obecnie ponad 346 milionów mieszkańców Chin, a optymistyczne założenie po przyznaniu olimpiady w 2015 roku mówiło tylko o 300 milionach... Statystyka (chińska) podaje też, że szybko rośnie wartość ekonomiczna branży sportów zimowych i może ona osiągnąć aż 157 mld dol. Badania wykazują również, że prawie 40 proc. Chińczyków uprawiało sporty zimowe przynajmniej raz w roku, a około 11 proc. uczyniło to więcej niż trzy razy w okresie 12 miesięcy. Chiny zbudowały ostatnio 654 lodowiska i 803 ośrodki narciarskie - to ogromny wzrost w porównaniu do 2015 roku. Jak twierdzą organizatorzy olimpiady, to dopiero początek zrównoważonego rozwoju sektora sportów zimowych w Chinach, ponieważ w Chinach rośnie zapotrzebowanie ludzi na zdrowszy styl życia i rekreację... Brzmi świetnie, prawda? Ale dla takich niedowiarków, jak piszący te słowa, to słabo współbrzmi z wielkimi - wymienianymi już - problemami, którymi żyje część mieszkańców Chin, a z innych źródeł wiadomo, że zainteresowanie, entuzjazm i euforia z powodu igrzysk będą zdecydowanie mniejsze niż w 2008 podczas letniej olimpiady. Na południu kraju wiele osób ich nawet nie zauważy.

Do tych wątpliwości dotyczących propagandy sukcesu dochodzi świadomość, że Chiny to państwo autorytarne. Nie należy spodziewać się wprawdzie niechęci do igrzysk ani protestów społecznych, ale jest to impreza nie tyle poddanych, ile władzy, której igrzyska się po prostu opłacają. Choć zabawa jest kosztowna, chodzi o to, żeby władza mogła pokazać: dajemy ludowi igrzyska. To idealne narzędzie do promocji wizji rządzących - kroczenia do wielkiego odrodzenia narodu chińskiego i nowoczesności. Natomiast, ponieważ olimpiada zaczyna się 4 lutego, czyli trzy dni po chińskim nowym roku, to dla nich jest tak, jakby u nas igrzyska były rozgrywane między Bożym Narodzeniem a Świętem Trzech Króli. Termin jest idealny, Chińczycy będą w nastroju świątecznym i będą cieszyć się sportową rywalizacją, którą lubią i w której liczy się tylko zwycięstwo. A przegrać mogą tylko z pandemią... Nie, nie ma mowy, nie przegrają. Ostatecznie wiedzą, co i jak - sami ją wywołali i pokazali, że potrafią zdusić niemal do zera.

Na odizolowanym obszarze

Wioski olimpijskie zostały otwarte na tydzień przed zawodami - ale ze względu na Covid-19 zostały one szczelnie odcięte od reszty kraju. Są umieszczone w każdym z trzech miejsc rozgrywania zawodów: w centrum miejskim Pekinu, w Yanqing i w Zhangjiakou. W wybudowanych od nowa ośrodkach znajdują się mieszkania dla atletów, studia fitnessowe, obiekty do treningu, galerie handlowe i restauracje. Już zapełniły się dziennikarzami, działaczami, członkami ekip i zawodnikami oraz zawodniczkami. Wszyscy oni znajdują się w szczelnej bańce antycovidowej, zorganizowanej wedle najlepszych doświadczeń Chin w stosowaniu strategii „zero wirusa", będącej znacznie bardziej rygorystyczną odmianą restrykcji niż my to znamy.

A jednak po przylocie na lotnisko i już w miasteczkach zidentyfikowano ponad 100 przypadków pozytywnych wyników testów u przybyszy i skierowano ich na izolację. Wśród zakażonych sportowcy i członkowie ekip stanowią mniejszość. Do czasu kolejnych negatywnych testów na koronę muszą przebywać na kwarantannie. Obowiązkiem wszystkich osób przebywających w olimpijskich miasteczkach, w trzech bańkach, jest codzienne wykonywanie testów PCR. A wcześniej, przed przyjazdem gości, wykonano w Pekinie dwa miliony testów. Trzeba przy tym zaznaczyć, że chińskie testy są dokładniejsze niż te poza Chinami. Dlatego tuż przed olimpiadą zmieniono ich wartości na łagodniejsze - przyjeżdżający obawiali się bowiem, że negatywny wynik testu, uzyskany przed wylotem do Pekinu, na miejscu mógł się okazać nieważny i pobyt na olimpiadzie byłby niesłychanie utrudniony.

Koronawirus już namieszał w polskiej ekipie - Natalia Czerwonka miała być jednym z polskich chorążych podczas ceremonii otwarcia, ale panczenistka uzyskała pozytywny wynik testu na koronawirusa i pozostaje w izolacji. Zakażona była także m.in. inna panczenistka Natalia Maliszewska, ale już ma test negatywny. W związku z izolacją Czerwonki, która miała nieść polską flagę ze Zbigniewem Bródką, wyznaczono jej zastępczynię. Będzie nią snowboardzistka Aleksandra Król.

Ceremonia otwarcia zimowych igrzysk olimpijskich Pekin 2022 rozpocznie się w piątek o godzinie 12.00 czasu polskiego. Ma to być długi spektakl - uroczystość na Narodowym Stadionie ma potrwać ok. trzech godzin.

Obecni i nieobecni

Niektóre kraje zdecydowały się na symboliczny bojkot pekińskich igrzysk. Swoich politycznych przedstawicieli nie wyślą Stany Zjednoczone, Kanada, Wielka Brytania, Australia, Nowa Zelandia, Japonia i na przykład Litwa - nasi sąsiedzi bardzo zadarli z Chinami na tle Tajwanu. Nieobecność innych - choćby Niemców, Austriaków, Słoweńców, Szwedów i Holendrów - tłumaczona jest obawami przed pandemią. W sumie z Unii Europejskiej liczącej 27 państw na ceremonii otwarcia olimpiady pojawią się najprawdopodobniej tylko dwaj przedstawiciele - polski prezydent i Wielki Książę Luksemburga. Obecność w Pekinie Andrzeja Dudy uzależniona jest m.in. od rozwoju sytuacji na Ukrainie, ale jeśli nic się nie stanie, polski prezydent poleci, gdyż „Chiny są naszym strategicznym partnerem, są dzisiaj jednym z najpotężniejszych państw świata, a zaproszenie ze strony chińskiego przywódcy Xi Jinpinga, to jest absolutny atut" - wedle słów Pawła Muchy, doradcy Dudy.

Chiński MSZ twierdzi, że do Pekinu przyjadą najwyżsi przedstawiciele Rosji, Kambodży, Singapuru, Kazachstanu, a także Egiptu, Arabii Saudyjskiej, Kataru, Zjednoczonych Emiratów Arabskich, Serbii, Monako, Argentyny...

Najwięcej emocji budzi przyjazd prezydenta Rosji Putina. Znaczyłby on chociażby tyle, że do piątku Rosja nie zamierza zaatakować Ukrainy. Mówiono też o wizycie w Pekinie prezydenta Ukrainy Złenskiego. Z kręgu prezydenta Rosji poinformowano jednak, że Putin nie przewiduje spotkań dwustronnych...

Nie będzie też na olimpijskich stadionach widzów spoza Chin, a miejscowi widzowie będą obecni tylko na specjalne zaproszenie. Sprzedaż biletów nie jest przewidziana. Pozostaje telewizja - dla Chińczyków, a także dla nas. Bo przecież mimo wszystko kibicujemy naszym, chociaż to igrzyska bez śniegu i wolności.

eprasa.pl 9875dceec8

MATERIAŁ INFORMACYJNY
0010396038

PGNiG

OCHRONA PRZED PODWYŻKAMI CEN GAZU

CO WARTO WIEDZIEĆ?

Niższe ceny gazu między innymi dla:

- Spółdzielni i wspólnot mieszkaniowych
- Szkół, przedszkoli i żłobków
- Domów Pomocy Społecznej
- Szpitali
- Instytucji kultury
- Organizacji pozarządowych

i wielu innych podmiotów!

45 dni na złożenie oświadczenia przez podmioty uprawnione do ochrony taryfowej od daty wejścia w życie ustawy (29 stycznia 2022 r.)

Wspólnoty i spółdzielnie mieszkaniowe zostają automatycznie objęte ochroną taryfową od 1 stycznia 2022 r. do 31 grudnia 2023 r.

Zarządzający wspólnotami i spółdzielniami powinni złożyć oświadczenia, w których zadeklarują, jaka część kupowanego gazu trafia na cele gospodarstw domowych, a jaka na inne cele*

*Dotyczy to również podmiotów, w których całość kupowanego gazu będzie przeznaczona wyłącznie na potrzeby gospodarstw domowych

Złóż oświadczenie on-line na:
ebok.pgnig.pl/ochrona-taryfowa

eprasa.pl 9875dceec8

Głos Dziennik Pomorza
Piątek, 4.02.2022

W środku nocy wyciągnięto ich z łóżek i wywieziono na Syberię

Marta Chmielińska
marta.chmielinska@polskapress.pl

Z kart historii

Oni zabrali nam dzieciństwo – mówiła mi kilkanaście lat temu nieżyjąca już Walentyna Macuta, była szefowa Koła Sybiraków w Hajnówce. Jako 11-letnia dziewczynka została, wraz z rodziną, wywieziona na Syberię. Był 10 lutego 1940 r. Dziś, po 82 latach, koszmar tego dnia zamykamy w słowie „deportacja".

Kuchnię całą zajęli Sowieci, do pokoju nie można było po nic pójść, mieliśmy tylko to, w co byliśmy ubrani – wspominała Walentyna Macuta (z domu Kowalska), wywieziona wraz z rodziną z gajówki Myrcha (pow. bielski w II RP). – Mama zaczęła z nimi rozmawiać, ale enkawudzista zakrzyknął: „Nie marudź! Sobirajsia!". Ale co brać? Jeden z nich mówi: „Bierz pościel, bo trasa długa, a mróz duży. Weź, żeby dzieci nie pomarzły". No i na jedne sanie załadowaliśmy to, co mogliśmy zabrać. Ale też z pokoju nie mogliśmy nic wziąć, bo tam siedział pod strażą gajowy Augustyniak. Więc zabraliśmy to, co było w sypialce: pościel i parę innych rzeczy. Nawet chleba nie wzięliśmy na drogę. Miałam wtedy jedenaście lat.

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

Polacy na Syberii. W grupie są osoby wywiezione z Puszczy Białowieskiej w lutym 1940 r. Na zdjęciu niżej: przed wojną w Puszczy Białowieskiej

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

Wywozili całe rodziny leśników, wojskowych i urzędników

Pierwsza masowa wywózka Polaków na Wschód w czasie II wojny światowej miała miejsce w nocy z 9 na 10 lutego 1940 r. Rosjanie zatrzymywali i pakowali do wagonów głównie rodziny osadników wojskowych, leśników i urzędników ze wschodnich rejonów Rzeczypospolitej. Dużą część stanowili pracownicy Lasów Państwowych, bo właśnie tę grupę zawodową uznano za niebezpieczną dla okupanta. Leśnicy znali las, potrafili poruszać się w dzikich, puszczańskich ostępach oraz posługiwać bronią. Byli wykształceni i umieli zarządzać ludźmi, cieszyli się szacunkiem społeczeństwa, a to mogło zaowocować stworzeniem organizacji konspiracji i oporu. W rejonie Puszczy Białowieskiej, wraz z samą Białowieżą, gdzie mieściła się Dyrekcja Lasów Państwowych, wywózki dotknęły dużą część społeczności.

– W pierwszej deportacji wysłano w głąb ZSRS łącznie około 140 tys. obywateli II RP, w tym z tzw. zachodniej Białorusi, czyli obszarów II RP, które zostały po 17 września 1939 r. wcielone w skład Białoruskiej SRS, ponad 50 tys. osób – mówi dr Tomasz Danilecki z Muzeum Pamięci Sybiru w Białymstoku. – Z utworzonego przez Sowietów tzw. obwodu białostockiego, obejmującego większość terenów przedwojennego woj. białostockiego i region łomżyński, deportowano ponad 11 tys. osób. Były to średnio 92 osoby na każde 10 tys. mieszkańców.

Wojciech Konończuk z Ośrodka Studiów Wschodnich, a zarazem autor książki o zesłańcach z powiatu bielskiego, liczbę deportowanych z terenu ówczesnego powiatu bielskiego (obejmującego także tereny dzisiejszych powiatów hajnowskiego, siemiatyckiego i część wysokomazowieckiego) szacuje na 2-2,5 tys. osób.

Ludzie byli przerażeni

Zatrzymywanie rodzin i przewożenie ich na dworce kolejowe odbywało się w niezwykle trudnych warunkach – mróz sięgał bowiem nawet 40 stopni Celsjusza. Ponadto akcja przesiedleńcza rozpoczęła się w nocy, ludzie wyrywani ze snu byli przerażeni. Kobiety, które oddzielano od mężczyzn, musiały dopilnować pakowania, a w tych okolicznościach nie było to proste.

– W roku 1940 była bardzo ciężka zima – opisywał swoje przeżycia Piotr Szpakowicz, syn gajowego z Białowieży, który w chwili deportacji miał 10 lat. – W nocy z 9 na 10 lutego, około godz. 4 rano, rozległ się łomot do drzwi. Jeszcze było ciemno, mama otworzyła i do mieszkania wpadło chyba pięciu wojskowych. Powiedzieli, że będą nas wywozić. Mama była przerażona, myślała, że nas wszystkich wywiozą i rozstrzelają. Straciła zupełnie głowę. Z nami mieszkała jeszcze 76-letnia babcia, która kategorycznie oświadczyła, że nigdzie nie pojedzie. Ale na nic się to nie przydało. Moja młodsza siostra leżała w kołysce i strasznie płakała, a enkawudzista przyparł mamę do pieca i kazał trzymać ręce do góry. Robili rewizję, cenniejsze rzeczy zabierali do kieszeni – zegarki z biurka, brzytwę ojca i inne. Później dali nam pół godziny na spakowanie. W pośpiechu wzięliśmy tylko to, co mama kazała nam nałożyć. Maleństwo mama zawinęła w kocyk. Wszystkich nas posadzono na sanie, zaniesiono babcię, która nie chciała jechać, i zawieziono nas na dworzec kolejowy. Do dworca było około 2 kilometry. Był straszny mróz, że ledwo dojechaliśmy. Na dworcu stał już zestaw wagonów towarowych. Otworzyli drzwi, powrzucali nas do wagonów i zatrzasnęli drzwi.

Kiedy Sybiracy wspominają tamtą noc z 9 na 10 stycznia, wszyscy mówią o łomotaniu w drzwi, strachu i zimnie. Niektóre rodziny miały ciut więcej szczęścia od innych, bo trafiły na „ludzkiego" bojca, który podpowiadał, jakie przedmioty najlepiej zabrać w długą drogę. Większość ludzi jednak była w takim szoku, że pakowała często nieprzydatne rzeczy, a tych ważnych nie zdołali zabrać z domów.

– O godzinie pierwszej w nocy zbudził nas łomot do drzwi – wspominała tę noc Jadwiga Chorąży-Kwapiszewska, córka nadleśniczego Nadleśnictwa Hajnówka, wywieziona wraz z rodziną na Syberię właśnie 10 lutego 1940 r. – Ojca posadzili na krześle, przyłożyli mu pistolet do skroni. „Przesiedlamy was do innego rejonu, zbierajcie się, furmanka już czeka" – krzyczeli. Ojciec był blady, mama – roztrzęsiona, a sowiecki żołnierz wciąż popędzał, przyspieszając pakowanie. Dwóch żołnierzy zaczęło mamie pomagać. Jeden z nich mruknął „głupia" i ściągnął z łóżka prześcieradło, po czym wrzucił na nie pościel i związał tobołek. Mama oprzytomniała i przy jego pomocy wyrzucała z szafy odzież, bieliznę, albumy ze zdjęciami... Wiązali toboły w kapy, koce, a nawet w kilim, który później służył nam na Syberii za ściankę działową i za posłanie. Szybko załadowano nas na furę i zawieziono na dworzec. Mróz był tej nocy potworny, mama zmarzła w nogi i efekt był taki, że odmroziła sobie duży palec. Na stacji wtłoczono nas do „tiepłuszek" (towarowe wagony, którymi przewożono ludzi – przyp. red.). Byliśmy pierwsi w naszym wagonie i zajęliśmy górną półkę, obok mieliśmy okratowane okno. Pierwszej nocy obudził nas straszny wrzask z dolnej pryczy. To adiunkt z Nadleśnictwa Leśniańskiego dostał ataku lęku w zamkniętej przestrzeni. Potem przez wiele dni słychać było już tylko gwizd lokomotywy i stukot kół...

Udana akcja wysiedleńcza

Deportacją z rejonu Puszczy Białowieskiej dowodził naczelnik Bielskiego Powiatowego Oddziału NKWD st. lejtnant bezpieczeństwa państwowego Manujłow. Przydzielono mu 278 funkcjonariuszy i 15-osobową rezerwę wojskową. Z tego składu utworzono 85 grup operacyjnych, które budziły w nocy ludzi i zabierały ich z domów na stacje kolejowe w Hajnówce, Białowieży i Narewce. W tym celu wykorzystano 422 wozy i sanie.

W dostępnych źródłach historycznych możemy znaleźć jedynie strzępy informacji, dotyczące organizacji tej deportacji. W piśmie sekretarza Brzeskiego Komitetu Obwodowego Kisielewa skierowanym do sekretarza KC KP(b)B P. Ponomarienki znajdujemy wypowiedzi chłopów, zamieszkujących rejon hajnowski, którzy stwierdzili, że osadnicy „niemało już znęcali się nad nimi i dawno należało ich wywieźć". Nie brakowało również postaw wspierających wywożenie nie tylko słowem, ale i czynem. Kiedy przewodniczący trójki powołanej do przeprowadzenia deportacji zapragnął we wsi Nowiny zmienić zmęczonego konia, chłopi zamiast jednego przyprowadzili mu do wyboru aż pięć i obiecali jeszcze więcej, jeśli tylko będzie taka potrzeba. W tym samym dokumencie deportacja przeprowadzona na terenie obecnego powiatu hajnowskiego stawiana jest jako przykład dobrze zorganizowanej akcji: „Za przykład udanego przeprowadzenia akcji mogą służyć liczne rejony, na przykład rejon hajnowski, z którego wysiedlono 214 rodzin leśników i osadników zamieszkałych w lasach białowieskich, co w trakcie wysiedlenia stwarzało duże trudności. Siłami funkcjonariuszy operacyjnych, 40 komunistów, 8 komsomolców i 400 ludzi z miejscowego aktywu bezpartyjnego w ciągu jednego dnia wysiedlono i załadowano do wagonów 214 rodzin osadników i leśników".

eprasa.pl 9875dceec8

Trójki operacyjne w akcji

Tzw. trójki operacyjne, które udawały się do domów wytypowanych do deportacji rodzin, otrzymały instrukcję dotyczącą przebiegu aresztowania. Zakładała ona np. prawo do zabrania przedmiotów codziennego użytku, odzieży i żywności.

– W rzeczywistości deportacja wyglądała najczęściej zupełnie inaczej. Wybudzona ze snu rodzina, zaskoczona wtargnięciem i widokiem uzbrojonych funkcjonariuszy oraz przedstawicieli miejscowego aktywu, nie wiedziała, jak ma się zachować – wyjaśnia Magdalena Dzienis-Todorczuk z białostockiego Oddziału IPN. – Dodatkowo grozę potęgował fakt, że – zgodnie z dyspozycjami, by uniknąć oporu czy ucieczek – mężczyzn w sile wieku oddzielano od reszty rodziny. Strach i oszołomienie odsuwały możliwość logicznego myślenia. Mimo iż dyrektywy wyraźnie określały wagę i rodzaj rzeczy, jakie deportowani mogli ze sobą zabrać, ciągłe poganianie przez konwojentów oraz brak konkretnej informacji, do jakiego miejsca zostają deportowani, utrudniały spakowanie przydatnych ubrań i sprzętów. Instrukcje nakazywały też przeprowadzenie w domu deportowanych rewizji, w celu odnalezienia broni.

Funkcjonariusze przeprowadzający rewizje często niszczyli sprzęty gospodarstwa domowego, a nawet dopuszczali się kradzieży cenniejszych przedmiotów.

Koszmarna droga na Wschód

Sterroryzowani i przerażeni ludzie, ciasno upchnięci w towarowych wagonach, jechali w koszmarnych warunkach. Spali na drewnianych pryczach, za piec służyła im blaszana beczka, w której paliło się ogień. Nie było wody ani ubikacji, za wychodek robiła wyłamana w podłodze dziura. Publiczne załatwianie potrzeb fizjologicznych było krępujące, a fetor wydobywający się z tych otworów, które szybko ulegały zanieczyszczeniu (między innymi z powodu zamarzania) momentami wydawał się nie do zniesienia.

W takich warunkach, przez kilka tygodni bez przerwy, jechali na Wschód. Transport zatrzymywał się kilka razy. Zdarzało się, że w jednym miejscu stał nawet przez kilka dni. Piotr Szpakowicz wspominał, że w Baranowiczach przesadzano ludzi do innych wagonów, jednak pociąg ponownie ruszył dopiero po trzech dniach.

Choć transporty były dobrze pilnowane, a drzwi zaryglowane, to nielicznym osobom udało się uciec. Były to jednak pojedyncze przypadki.

– Zdarzały się ucieczki – potwierdza Magdalena Dzienis-Todorczuk. – W lutym 1940 r., w zestawieniu sporządzonym przez władze sowieckie z akcji deportacyjnej z obwodu białostockiego, odnotowano kilkanaście prób ucieczek, zarówno przy przeprowadzaniu operacji, jak i już z konwoju. W trakcie ostatniej, czwartej wywózki, odbywającej się już po wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej, zdarzały się ucieczki z ostrzelanych składów pociągów.

Zbigniew Pieńkowski, opisujący wywózkę swojej rodziny z Drozdowa w czerwcu 1941 r., wspominał, iż czworgu z ośmiorga dzieci udało się uciec już w momencie wywózki. Jego sześcioletniego brata mama spuściła przez okno, licząc, że ktoś z przechodniów go złapie, a pozostali, starsi, uciekli sami.

Znane są też sporadyczne przypadki stawiania oporu przy próbie wywózki, kończące się albo zabiciem osoby buntującej się, albo jej aresztowaniem.

Miejscowi byli w to zaangażowani

We wspomnieniach Sybiraków powtarzają się wątki „miejscowych", którzy często wskazywali, gdzie mieszkają osoby z list deportacyjnych. Nierzadko byli to sąsiedzi represjonowanych. Oddzielną kwestią jest też ich późniejszy „udział" w podziale majątku wywiezionych na Syberię osób.

W czasie lutowej akcji mieszkania deportowanych rodzin były rewidowane, a wyposażenie mniej lub bardziej skrupulatnie spisywane. Majątek ten przechodził pod opiekę komitetu rejonowego. W praktyce jednak zdarzały się przypadki przywłaszczania sobie dóbr pozostałych po osadnikach. W Janowie koło Narewki dom opuszczony przez wywiezioną na Wschód rodzinę gajowego Pawła Dąbrowskiego oraz zabudowania gajowego Lewszy przeznaczone zostały na budowę szkoły i rozebrane, jednak nie wiadomo, co się później z nimi stało. Po latach Bronisław Dąbrowski (syn Pawła), który w 1940 r. miał już 20 lat, powiedział, że materiały z rozbiórki zostały „zmarnowane przez miejscową ludność".

Przywoływana już na początku tekstu Walentyna Macuta wspominała zaś, że kilka lat po powrocie z wywózki rozpoznała – w domu jednego z mieszkańców Białowieży – rodzinną szafę z charakterystycznym sękiem w kształcie ptaszka.

– Oficjalnie majątek pozostawiony przez deportowanych konfiskowało państwo sowieckie. W praktyce był on rabowany przez enkawudzistów jeszcze w trakcie deportacji – mówi dr Tomasz Danilecki z Muzeum Pamięci Sybiru w Białymstoku. – Pozostawione domy i mieszkania przydzielano sowieckim urzędnikom, którzy mogli również kupować po oficjalnych, a więc znacznie zaniżonych cenach, pozostałe mienie ruchome. Ziemia należąca do deportowanych miała być rozdawana bezrolnym i małorolnym chłopom, jednak w rzeczywistości najlepsze ziemie włączano do majątku kołchozów, a sprzęt rolniczy trafiał do stacji obsługi maszyn.

Przyszłość prysła jak bańka mydlana

Bronisław Dąbrowski z Janowa w chwili, w której Sowieci przyszli po jego rodzinę, był poza domem, w drodze do pracy. W Narewce spotkał stryja, który mu opowiedział o aresztowaniu rodziny i zachęcał go do ucieczki i ukrycia się. Jednak młody chłopak zdecydował inaczej,

– Spojrzałem na zachód słońca, który akurat był nad wieżą kościoła, krwawy zachód, bo to był bardzo silny mróz, i pomyślałem sobie, że wszystkie moje plany, wszystkie zamiary, jakie miałem na przyszłość, że wszystko prysło jak bańka mydlana – wspominał Bronisław Dąbrowski w 1991 r. – I pomyślałem, że trzeba iść na stację kolejową, bo tam są przecież moi rodzice. Kiedy tam dotarłem, zobaczyłem trzy wagony. Wagon z moimi rodzicami był już zamknięty, a bojec nie bardzo był skory do otwierania. Prosiłem go: „idź do wagonu i zapytaj, czy tam są Paweł i Teodozja Dąbrowscy i czy ja jestem ich synem". Wartownik w końcu otworzył wagon. Matka bardzo się ucieszyła, były łzy, chociaż widzieliśmy się rano. Czy to dobrze, że tak zrobiłem? Jedno mogę powiedzieć, że jako młody chłopiec, silny i zdrowy, będąc na zsyłce razem z rodzicami przynajmniej mogłem im pomóc.

Matka Bronisława nie przeżyła wywózki. Zachorowała i zmarła na oczach rodziny. Jednak ojcu i siostrze Bronka udało się w 1946 r. wrócić do Polski. Jego brat zaś trafił do Armii Andersa i ostatecznie osiadł w Stanach Zjednoczonych. Natomiast Bronisław dostał powołanie do formującej się I Dywizji Kościuszkowskiej, walczył na froncie i też po latach powrócił do ojczyzny. ©℗

INFO

INSTRUKCJA Z 29 GRUDNIA 1939 R. REGULUJĄCA TO, CO MOGLI ZABRAĆ ZESŁAŃCY

„(...) zezwala się zabrać ze sobą następujące rzeczy oraz drobny sprzęt gospodarczy: 1. ubranie, 2. bieliznę, 3. obuwie, 4. pościel, 5. nakrycia stołowe (łyżki, noże, widelce), [naczynia] do herbaty i [sprzęty] kuchenne, wiadra, 6. żywność mającą wystarczyć rodzinie na miesiąc, 7. drobne narzędzia gospodarcze i [przedmioty] codziennego użytku (...), 8. pieniądze (w kwocie bez ograniczeń) oraz użytkowe przedmioty wartościowe (pierścionki, zegarki, kolczyki, bransoletki, papierośnice itp.), 9. kufer lub skrzynię do zapakowania rzeczy".

ARTYKUŁ REKLAMOWY 0010406014

Po 10 latach bezsilności chodzenie to nie problem!

Pani Elżbieta z Bydgoszczy (57 l.) prawie pół życia zmagała z przewlekłym bólem stawów. Maści, tabletki, opaski uciskowe i różne zabiegi nie przynosiły spodziewanych efektów. Ból kolan i pleców stale się pogłębiał, a specjaliści bezradnie rozkładali ręce. Biedna kobieta w końcu była na skraju załamania, w dodatku coraz bardziej obawiała się utraty pracy...

Niespodziewanie znalazła zaskakujące rozwiązanie!

Jako nauczycielka, byłam w fatalnej sytuacji. Gdy próbowałam podnieść kredę z podłogi, w oczach robiło mi się ciemno. **Ból kręgosłupa** utrudniał mi zawiązywanie butów. Do tego ten uciążliwy **ból kolan** przy wchodzeniu po schodach... Często przystawałam, żeby odpocząć. Ludzie patrzyli ze współczuciem. Modliłam się, by coś w końcu pomogło...

Bałam się, że skończę źle!

Nauczyłam się chodzić po schodach tak, żeby bolało jak najmniej. Pamiętam szepty sąsiadów: „Popatrz, jak się chwieje!...". W klasie siadałam lekko odchylona i rozluźniałam nogi. Kiedy spadła mi kreda, udawałam że nie widzę. W przerwach masowałam kręgi szyjne. Wierzyłam, że jakoś dotrwam do emerytury. Niestety, 1,5 roku temu odwróciłam się od tablicy, spojrzałam na klasę. Obraz stracił ostrość i zemdlałam.

Fatalna diagnoza

W gabinecie usłyszałam, że stawy i kręgosłup są w opłakanym stanie. Powinnam myśleć o wzięciu się za siebie na poważnie albo będzie naprawdę źle. Zły stan kręgów powoduje ucisk na kręgosłup i dlatego odczuwam tak potworny ból. Mogę próbować różnych sposobów, ale niewiele to zmieni...

Zadzwoniłam do wnucząt, przez łzy prosiłam, by mi pomogli. Znają się na Internecie, rozumieją współczesny świat, wiedzą znacznie więcej niż ja.

Pierwszy odezwał się Adam. Wysłał mi małą paczkę z... wkładkami do butów. Myślałam, że to pomyłka. 2 dni później przyszła paczka od Marcina. Tu też były wkładki! Marcin do paczki dołączył list:

„Babciu, regularne **noszenie wkładek może poprawić sprawność ruchową stawów i uśmierzać ból w kilka tygodni.** Skuteczność wkładek biomagnetycznych jest zaskakująco wysoka.

Na stopach jest kilkadziesiąt neuroprzekaźników. Można na nie wpływać falami elektromagnetycznymi i regulować pracę stawów i ważnych organów.

Opinie użytkowników potwierdzają **wysoką skuteczność metody** spec. Strollera! **Może działać bez względu na wiek, styl życia i stopień zaawansowania dolegliwości.** Wystarczy, że włożysz wkładki do butów i będziesz regularnie nosić. Niedługo możesz zobaczyć pierwsze efekty. To naturalna, bezpieczna metoda!"

Zrobiłam jak kazał. I spotkało mnie coś niewiarygodnego!

Po jakimś czasie stosowania tych wkładek obudził mnie telefon. Rozhisteryzowana dyrektorka krzyczała do słuchawki: „Pani Elu, żyje Pani?! Bogu dzięki! Trzecie zastępstwo już organizuję, a Pani nie ma i nie ma. Myślałam, że stało się coś złego. Ten Pani kręgosłup! Całe szczęście, że Pani odebrała!".

Nie wiedziałam, o co jej chodzi. Od dawna ból kręgosłupa budził mnie między 4 a 5 rano – po prostu nie mogłam już wytrzymać. Czułam go w całym ciele. Spojrzałam na zegarek, a tam 10:34! Dzięki wkładkom ból zmniejszył się i mogłam spokojnie przespać całą noc! Pierwszy raz od 5 lat dolegliwości w kręgach i kręgosłupie nie obudziły mnie. Zaspałam na lekcje!

Dopiero teraz zorientowałam się, że przeszłam do kuchni i stoję w niej od kilku minut robiąc śniadanie. To niesamowite, ale bez rozmasowywania i rozchodzenia kolan! Kolejne tygodnie stosowania wkładek znacznie zagodziły mój ból kolan i kręgosłupa. Szyja już tak nie sztywniała, biodra również nie dokuczały mi już tak dotkliwie. Powoli zaczęłam znów normalnie żyć. Poprawiło mi się trawienie, żołądek tak nie dokucza, nie miewam zgagi i spadło mi ciśnienie.

Mam niższy cholesterol, ciśnienie, serce pracuje lepiej, wątroba i nerki też. Kolana, stawy biodrowe, szyja i kręgosłup niemal jak nowe. I to tylko dzięki tym wkładkom do butów. To skandal, że nigdzie nie można o nich usłyszeć! We wtorek zadzwonił Marcin, rozpłakałam się do słuchawki. Kochani chłopcy, uratowaliście mi życie!

UWOLNIJ SIĘ OD BÓLU!

Wkładki biomagnetyczne dostępne są również w Polsce. Pierwsze 100 osób, które zadzwoni do 7 lutego 2022 r., dostanie **73% zniżki.** Otrzymasz wtedy wkładki biomagnetyczne w wyjątkowo niskiej cenie (przesyłka GRATIS)!

Zadzwoń już dziś!

71 300 35 46

Od pn. - nd.: 8:00–20:00
(Zwykłe połączenie lokalne bez dodatkowych opłat)

REKLAMOWANE W TV

*Szczegóły oraz informacje dotyczące procedury zwrotów i reklamacji dostępne są pod adresem: www.grouptcm.com

eprasa.pl 9875dceec8

Rodzina wielopokoleniowa to polski mit

Agata Sawczenko
agata.sawczenko
@polskapress.pl

Rozmowa

O tym, jak kształtowała się struktura polskiej rodziny i jakie przemiany społeczne, polityczne czy prawne miały na to największy wpływ, rozmawiamy z dr. Piotrem Guzowskim z Uniwersytetu w Białymstoku, współautorem oraz współredaktorem książki „Rodzina i jej gospodarstwo na ziemiach polskich". Książka została właśnie wydana w języku angielskim w jednym z największych i najbardziej prestiżowych wydawnictw naukowych na świecie (brytyjskim Routledge) pod tytułem „Framing the Polish Family in the Past".

Mezalians – to słowo to przekleństwo wielu zakochanych przed laty. Kiedy przestaliśmy używać tego słowa? Czy w ogóle przestaliśmy?

Czasem nadal używamy… Przed laty to słowo dotyczyło zawarcia małżeństwa pomiędzy osobami z różnych stanów społecznych. Na przykład osoby pochodzenia szlacheckiego miały unikać wstępowania w związki małżeńskie z osobami stanu mieszczańskiego czy chłopskiego. Aczkolwiek ten mezalians to był taki stereotyp, że nie można… A tak naprawdę to na przykład córki drobnych szlachciców bez problemu wchodziły w związki małżeńskie z mężczyznami z innego stanu. Podobnie zresztą jak i szlacheccy synowie, tylko że nieco rzadziej. Nie wszędzie oczywiście tak było, bo na przykład na Podlasiu czy wschodnim Mazowszu, nawet gdy konstytucja marcowa zniosła tytuły szlacheckie, to widać było, że potomkowie dawnych szlachciców pobierają się między sobą, a potomkowie chłopów – między sobą. Na tych terenach bardzo długo tego pilnowano – choć już bez używania słowa mezalians.

Nie tylko o mezaliansach mówi publikacja „Rodzina i jej gospodarstwo na ziemiach polskich geografii europejskich struktur rodzinnych do połowy XX wieku" – wydana ostatnio w języku angielskim – której jest pan współredaktorem (razem z prof. Cezarym Kuklą) oraz współautorem. Opisują państwo tu, jak zmieniała się polska rodzina na przestrzeni wieków. Ogrom pracy za wami. Proszę powiedzieć, jak zbieraliście materiały do tej książki?

Do stworzenia tej książki wykorzystywaliśmy swoje własne badania, ale także badania innych historyków. Książka to próba zebrania tych wszystkich drobniejszych badań i stworzenie syntetycznego, ale bardziej ogólnego obrazu. Publikacja z założenia miała dotyczyć trzech podstawowych aspektów tego, jak się zmieniała polska rodzina od XV do XX wieku: sytuacji prawnej rodzin, sytuacji gospodarczej, czyli takiego standardu ekonomicznego, no i sytuacji demograficznej kraju. Analizowaliśmy, jak na przestrzeni 600 lat przedstawiały się poszczególne aspekty mające wpływ na rodzinę: czyli na przykład ile średnio było dzieci, jak długo trwały małżeństwa, jak duże były gospodarstwa domowe, jak zmieniały się przepisy prawa kościelnego i państwowego, jak dzielono spadki, kto ma sprawować opiekę nad osieroconymi dziećmi… To jest wreszcie analiza źródeł podatkowych, które mogą powiedzieć, jakim poziomem bogactwa albo dochodów rodziny dysponowały. No i ostatnia rzecz, to są bardzo takie żmudne badania statystyczne w oparciu o metryki chrztów, ślubów i zgonów, w oparciu o spisy ludności albo takie źródła quasi-spisowe.

Dlaczego zdecydowaliście się państwo na tak bardzo szeroką przestrzeń czasową 600 lat? To kawał czasu! Do tego jeszcze dochodzi podział na rodziny należące do poszczególnych klas społecznych…

Uznaliśmy, że w Polsce brakuje takiego ujęcia syntetycznego. Polską rodzinę zaczęliśmy badać od XV wieku, bo w tym czasie pojawiają się odpowiednie źródła, z których mogliśmy korzystać. Nasza publikacja nie zawiera bowiem mikrohistorii poszczególnych ludzi, tylko raczej historię całych grup społecznych, statystycznych Polaków. Uznaliśmy, że podział stanowy jest istotny i dlatego oddzielnie pisaliśmy o rodzinie chłopskiej i szlacheckiej, i mieszczańskiej, także rodzinie magnackiej i – już w wersji angielskiej książki - rodzinie żydowskiej. Utrzymaliśmy ten podział również w opracowaniu sytuacji w XIX wieku, choć po rozbiorach sytuacja stanowa w Polsce bardzo się zmieniła. Wraz z postępem industrializacji coraz częściej mieszczanami stawali się chłopi, którzy migrowali do miasta. Do miasta emigrowała też biedniejsza szlachta, rodziły się elity intelektualne, inteligencja…

FOT. KATARZYNA DZIEDZIK/UWB

Europejska rodzina to tzw. rodzina nuklearna: gospodarstwo domowe tworzą mąż, żona, ewentualnie dzieci. Nie jest to rodzina wielopokoleniowa - mówi dr Piotr Guzowski

Czy ta polska rodzina na przestrzeni wieków bardzo różniła się od typowej rodziny europejskiej?

Faktycznie, można mówić o takiej typowej rodzinie europejskiej. Do jej charakterystycznych cech należy dość późny wiek zawierania małżeństw, czyli 23 lata dla kobiety i 26 lat dla mężczyzn, oraz stosunkowo nieduża różnica wieku między małżonkami. W europejskich rodzinach występowali też służący, właściwie niemal każdy miał służącego. Służba to był pewien etap życia. Człowiek osiągał odpowiedni wiek i szedł służyć do innych, żeby zarobić pieniądze, żeby założyć swoje gospodarstwo domowe. Kolejnym elementem europejskiego systemu jest fakt, że w społeczeństwie występują osoby samotne. I nie chodzi tu wcale o duchownych, tylko o mężczyzn i kobiety, którzy nigdy nie wstąpili w związki małżeńskie.

Europejska rodzina to tzw. rodzina nuklearna: gospodarstwo domowe tworzą mąż, żona, ewentualnie dzieci. Nie jest to rodzina wielopokoleniowa.

A przecież mówi się, że przez lata w Polsce obowiązywał model rodziny wielopokoleniowej…

To kolejny mit. Europejski model charakteryzuje się tym, że to jest rodzina dwupokoleniowa. Rodziny wielopokoleniowe można było zaobserwować w drugiej połowie XIX wieku, a nawet na początku XX wieku. Dzięki wzrostowi standardu życia i rozwojowi medycyny, ludzie po prostu zaczęli żyć dłużej. I pojawiła się taka sytuacja, kiedy dziadkowie mogą mieszkać ze swoimi wnukami, bo żyją po prostu dłużej. Przeciętne małżeństwo w mieście średniowiecznym trwało 12-15 lat. Małe były szanse, by ktoś w ogóle doczekał wnuków, nie mówiąc już o tym, by z nimi mieszkał. Wzrost standardu życia i rozwój medycyny sprawił, że zaczęliśmy żyć dłużej i że dziadkowie mieli większe szanse doczekać swoich wnuków.

Czy wierzymy w jeszcze inne mity dotyczące polskiej rodziny?

Dziś mówi się o nierównościach społecznych, ekonomicznych. O tym, że one rosną, pogłębiają się. Te nierówności były zawsze. Weźmy sobie szlacheckie gospodarstwo domowe w Wielkopolsce czy w Małopolsce: rodzina mieszka w dworku, składa się z 13-15 osób. Ale jak się przeniesiemy na Podlasie, to już tych osób jest tylko sześć. A to ta sama szlachta, która ma te sama prawa polityczne! Wróćmy jeszcze na chwilę do tych mezaliansów, od których zaczęliśmy. Ludzie mieli świadomość różnicy prawnej. I pewnego prestiżu społecznego. Natomiast z punktu widzenia takiego ekonomicznego demograficznego to nie było tej różnicy widać.

Proszę powiedzieć o hierarchii w rodzinie… Czy faktycznie było tak, że to mężczyzna od zawsze był tą głową rodziny, a kobieta była mu podległa?

Jeśli mielibyśmy uogólnić, to tak, w Polsce to mężczyzna był głową rodziny. Ale trzeba też wziąć pod uwagę stosunkowo wczesny wiek śmierci. W małżeństwie mężczyźni byli zwykle starsi, więc często wcześniej umierali. Oczywiste jest więc, że wdów było dużo, w dodatku całkiem młodych. Przejmowały gospodarstwo domowe, interes, który wcześniej prowadził mąż. I często nie chciały po raz kolejny wychodzić za mąż, bo ten wdowi stan był dla nich całkiem wygodny, zapewniał im spokój: nikt im nie mówił, co mają robić, to one stawały się głową rodziny.

Inaczej też wychowywano dzieci. Dziś – tak się przynajmniej mówi – bardziej się nimi opiekujemy.

Ale niegdyś zapewniano im większą swobodę. W wieku 12-14 lat dzieci szły na służbę, czyli stosunkowo wcześnie opuszczały dom rodzinny, a co za tym idzie - szybko zdobywały samodzielność. W ten sposób wychodziły spod opieki rodziców, ale zyskiwały dosyć dużą swobodę. Dzięki temu, w wielu przypadkach mogły dobierać sobie partnerów życiowych: po prostu, były poza domem i zakładały rodzinę wtedy, gdy było je już na to stać, kiedy kobieta i przyszły partner mieli pieniądze albo odziedziczyli spadek, albo właśnie zarobili, służąc.

Co miało największy wpływ na zmiany w strukturze rodziny, które się dokonywały poprzez te wszystkie stulecia?

Z jednej strony mamy pewne zmiany prawne. Najpierw wprowadzane przez Kościół katolicki, dotyczące na przykład ograniczenia wieku, w którym można było wstępować w związek małżeński. Dziś to nie wydaje się poważne, bo wprowadzono ograniczenia 12 lat dla kobiety i 14 dla mężczyzny. Ale wtedy zabezpieczało to dzieci przed planowaniem im przez rodziców koligacji. Na kształtowanie się rodziny na pewno wpływała też sytuacja ekonomiczna, zwłaszcza w przypadku niższych grup społecznych. To też zmiany demograficzne, które bardzo mocno wpłynęły na strukturę rodzin. Choćby spadek śmiertelności i umieralności dzieci i niemowląt sprawia, że inaczej się podchodzi do kwestii prokreacji, czyli nie musimy mieć już czwórki czy sześciorga dzieci, tylko wystarczy dwoje. Z jednej strony małżeństwo trwa coraz dłużej – bo zwiększa się długość życia, ale z drugiej – prawo wprowadza możliwość rozwodów. Rozwód do XIX wieku jest raczej incydentalny: wśród chłopów praktycznie rozwodów nie ma, wśród szlachty to jest 1 proc. Dzisiaj natomiast mniej więcej 50 proc. małżeństw się rozwodzi, prawda? Nasze badania skupiły się na tych aspektach prawnym, ekonomicznym i demograficznym, biologicznym. Aczkolwiek z tym też wiążą się pewne przemiany kulturowe, jak chociażby rozwód.
Do przemian kulturowych możemy zaliczyć też fakt, że dzisiaj mamy małżeństwa, które nie mają dzieci nie dlatego, że nie mogą mieć dzieci biologicznych, tylko po prostu wybierają taki model funkcjonowania.

To na pewno nie koniec zmian. Czy potrafi pan przewidzieć, jak będzie wyglądała polska rodzina za 50 albo za 100 lat?

Rozwód do XIX wieku jest raczej incydentalny: wśród chłopów praktycznie rozwodów nie ma, wśród szlachty to jest 1 proc.

Ja jestem demografem i wiem, że jedną z najbardziej trudnych rzeczy jest prognozowanie demograficzne. Jeśli dziś postawię prognozę, już za pięć lat być może będzie konieczność, by ją zweryfikować. Powiem więc w ten sposób: obserwujemy pewne trendy. Na przykład takie, jak spadek płodności kobiet. Może to sugerować, że w naszym kręgu kulturowym ten trend raczej się utrzyma. Takie programy jak 500 plus na dłuższą metę nie zdają rezultatu. Dlatego, że nawet badania pokazują, że to zadziałało na rodziny, które miały czworo dzieci, że będą miały piąte dziecko albo szóste. Natomiast nie przekonało tych, którzy nie mieli w ogóle dzieci albo mieli tylko jedno dziecko. Trzeba też pamiętać, że nasz system ubezpieczeń społecznych jest systemem opartym na takiej solidarności międzypokoleniowej, czyli młodsi płacą na starszych. I w takim kształcie, kiedy będzie mniej dzieci, taki system nie przetrwa. Więc być może będziemy się ratować migracją. A migracja przyniesie inne wzorce rodzinne. Bo, powiedzmy, jeżeli my mówimy w Polsce o migracji z Ukrainy czy Białorusi, no to jest to stosunkowo bliskie nam kulturowo i te różnice nie są duże. Ale jeśli weźmiemy pod uwagę migrację z krajów afrykańskich czy azjatyckich, to taki proces globalizacyjny może wpływać na kształt rodziny, nie mówiąc już o tym, że może próbować zdefiniować inaczej rodzinę czy małżeństwa. Ale prognozując, bierzemy też pod uwagę, że pewne procesy w różnych krajach przychodzą z opóźnieniem. Na przykład w zachodniej Europie, w krajach najbardziej uprzemysłowionych, ślady przejścia z wysokiej umieralności i płodności do dobrze rozwiniętej medycyny widzimy już pod koniec XVIII wieku. O tym samym przejściu w Polsce możemy mówić dopiero pod koniec XIX wieku, a nawet w dwudziestoleciu międzywojennym.
A w krajach, takich jak Chiny czy Indie dzieje się to dopiero teraz, na naszych oczach.

Czyli chcąc wiedzieć, co nas czeka, również dziś możemy popatrywać na Zachód?

No tak. Z dużym prawdopodobieństwem to, co u nich dzieje się teraz, u nas będzie za kilkanaście czy kilkadziesiąt lat. ©℗

eprasa.pl 9875dceec8

Adopcja na czas określony.

Nowi rodzice rezygnują z dziecka

FOR. 123RF

Jeśli dorośli decydują się na adopcję dziecka, to deklarują być z nim na dobre i na złe

Katarzyna Piojda
katarzyna.piojda@polskapress.pl

Społeczeństwo

Dziecko, które trafia do domu dziecka, potrzebuje wyjątkowo dużo miłości. A ono doznaje wyjątkowej krzywdy, gdy zostaje adoptowane, ale na krótko.

Dziewczynka ma 10 miesięcy. Po swojemu mówi i tańczy. Stoi, a pewnie niedługo wystartuje na nóżkach. Rozwija się jak jej rówieśnicy. Od nich różni się jednak tym, że nie wychowuje się w zwyczajnym domu.

Mieszka w Rodzinnym Domu Dziecka w Trzeciewnicy, powiat nakielski. Trafiła tutaj, mając 1,5 miesiąca. Biologiczni rodzice nie robią nic, żeby malutka (jest ich jedynym dzieckiem) wróciła. Opiekunowie zastępczy starają się natomiast zostać jej rodzicami. - Chcemy adoptować tę dziewczynkę - przyznaje pani Anna, która z mężem prowadzi placówkę w Trzeciewnicy.

Nie tylko dlatego że brzdąca bardzo pokochali i się do niego przywiązali, bo każde dziecko, któremu zapewniają dach nad głową, jest przez nich tak samo traktowane. - Mamy nadzieję uchronić małą przed traumą, której mogłaby później doświadczyć.

Kobieta wyjaśnia: - Gdyby została jeszcze jako małe dziecko adoptowana, mogłoby się okazać po paru, nawet po kilkunastu latach, że jest niepełnosprawna. Na razie lekarze nie zdiagnozowali u niej opóźnienia rozwojowego ani chorób. Wady niekiedy ujawniają się później, np. dopiero u nastolatka.

Biorąc pod uwagę stan zdrowia prawdziwych rodziców (potrzebna im pomoc specjalistów), nie ma gwarancji, że u ich córki te dysfunkcje nie wystąpią. - Nie chcemy dopuścić do sytuacji, w której malutka trafi do adopcji, a potem zostanie oddana przez rodziców adopcyjnych właśnie ze względu na to, że zostanie u niej zdiagnozowana niepełnosprawność i choroby.

To dlatego pani Anna wraz z mężem złożyli w sądzie rodzinnym dokumenty o adopcję 10-miesięcznej podopiecznej. Procedura dotycząca przysposobienia ruszyła. Dom dziecka pod Nakłem istnieje 7 lat, lecz to będzie pierwsza adopcja, na jaką zdecydowali się małżonkowie.

Sytuacji, w których dzieci jednak przeżywają koszmar, bo były adoptowane, ale nowi rodzice je oddali do placówki opiekuńczo-wychowawczej, nie brakuje.

Grześ miał 3 latka, gdy samotna kobieta została jego adopcyjną mamą. Jak skończył 6, wrócił do domu dziecka. Mama stwierdziła, że nie daje sobie rady z wychowaniem buntownika, u którego zdiagnozowano nadpobudliwość psychoruchową. Nie mogła liczyć również na wsparcie swoich bliskich. Oni od początku sprzeciwiali się temu, aby ona adoptowała dziecko. Namawiali ją do oddania chłopca. Tak też zrobiła. Złożyła pozew o rozwiązanie przysposobienia, czyli o cofnięcie adopcji. Sąd orzekł rozpad rodziny adopcyjnej. Przedszkolak wrócił do koleżanek i kolegów z domu dziecka.

Cyrklem po ścianie

Polewanie ręczników płynem na owady, wybijanie szyb w drzwiach do pokoju, niszczenie ścian cyrklem, nawet chowanie sztucznej szczęki dziadkowi. To miały być grzechy główne Kuby, którego rodzice adoptowali, jak miał 2 lata. Już wtedy zdiagnozowano u niego zaburzenia emocjonalne. Przyszli rodzice sądzili natomiast, że dadzą mu tyle uczuć i otoczą troską, że jego stan umysłowy się unormuje. Nie unormował. Nastolatek, wolą sądu, znowu zamieszkał w placówce.

Scenariusz życia

Michalina pierwsze pół roku życia spędziła w domu dziecka. Potem zgłosiła się para, pragnąca ją adoptować. Złożyła wniosek. Poległa w trakcie diagnozy, która obejmuje m.in. badania psychologiczno-pedagogiczne. Specjaliści rozmawiający z kandydatami nie byli przekonani, że para poradzi sobie z rolą rodziców. Kandydaci za bardzo zaplanowali przyszłość dziewczynce. W scenariuszu zabrakło miejsca na wybory podejmowane przez dziecko.

Żona i mąż podjęli ponowne starania o Misię. Tym razem proces weryfikacji przeszli pozytywnie. Pani i pan adoptowali 2-letnią blondyneczkę. Gdy Michalina miała naście lat, rodzice skierowali do sądu pozew o zakończenie rodziny adopcyjnej. Córka, ich zdaniem, nie spełniła ich aspiracji. Oni oczekiwali, że Michalina będzie się wzorowo uczyć, jeździć konno lub grać na pianinie, później zostanie lekarzem. A ona miała średnią ocen 3,7. Żadne tam pianina i medycyny nie były jej w głowie. Jak już, to piwo. Nastolatka wróciła do domu dziecka.

Trudny chłopiec

Michał razem z siostrą zostali adoptowani. Nowi rodzice wiedzieli o problemach psychicznych syna. Pracownicy ośrodka adopcyjnego przestrzegali, że chłopiec jest trudny. Kobieta i mężczyzna nie sądzili jednak, że choroba syna wpłynie negatywnie na rodzinę. Zdecydowali się adoptować rodzeństwo. Z córką nie było kłopotów. Z synem były. - Chciał mnie zamordować - mówiła o nim adopcyjna matka. - Przyszedł w nocy z nożem. Nie zdążył zadać ciosu. Złapałam jego rękę z nożem, odepchnęłam. Upadł.

Później Michał tłumaczył, że jakaś postać kazała mu zabić matkę. Wylądował w szpitalu psychiatrycznym. Rodzice mieli go odebrać, ale odmówili. Podkreślali, że w jego obecności nie czują się bezpiecznie. Zamieszkał w placówce opiekuńczej. Matka i ojciec nie pozwolili mu zabrać do niej niczego, oprócz albumu z rodzinnymi zdjęciami. Zakazali córce go odwiedzać. Wystąpili o rozwiązanie przysposobienia. Sąd się nie zgodził, argumentując, że kobieta nie przedstawiła decydującej sytuacji, jakoby syn z premedytacją usiłował ją zabić.

Proces adopcyjny, od momentu rejestracji kandydata na rodzica do orzeczenia adopcji przez sąd, trwa średnio 2 lata

Ciocie w szoku

Bywa i tak: 17-latek przez 13 lat żył w rodzinie adopcyjnej. Kadra jego dawnego domu dziecka doznała szoku, gdy się do niej zgłosił. Opowiadał, jak mu źle z rodzicami - kazali mu się uczyć, wracać o ustalonej godzinie z imprez na mieście. Zakazywali picia i palenia. Im bardziej matka i ojciec mu nakazywali i zakazywali, tym bardziej się sprzeciwiał. Pracownicy domu dziecka przeżyli szok nr 2. Nie spodziewali się bowiem, że sąd rozwiąże adopcję, a tak uczynił, uzasadniając, że postawy małżonków i syna nie dawały nadziei na poprawę relacji. Kobieta i mężczyzna w ogóle nie walczyli o rodzinę.

Totalna porażka

- Każde rozwiązanie adopcji oznacza totalną porażkę - mówi Krzysztof Jankowski, dyrektor Bydgoskiego Zespołu Placówek Opiekuńczo-Wychowawczych. - To dramat nie tylko rodziców, ale także osób, odpowiedzialnych za procedurę adopcyjną, także nas, jako pracowników domu dziecka. Nie można obarczać winą jedynie dziecka.

Często muszą minąć lata, żeby dorośli i przysposobiona córka lub syn się dotarli. Psychologowie wspominają o dwóch etapach. W pierwszym dziecko jest przeraźliwie grzeczne. Zamierza zdobyć miłość i zaufanie nowych krewnych. Druga faza łączy się ze zmianą nie do poznania. Dziecko dokazuje. Na swój sposób sprawdza wytrzymałość rodziców. Jeśli wytrzymują, to ono przekonuje się, że nawet jak będzie bardzo niegrzeczne, to mama i tata go nie oddadzą. Po tych dwóch fazach powinno zacząć się normalne życie rodziny. U jednych adoptowanych dzieci te dwa okresy trwają po kilka dni, u drugich po parę lat. Niekiedy rodzicom brakuje cierpliwości. Następuje rozłam.

Ale kolejka chętnych do tego, aby wychowywać nie swoje - ale jak swoje - dziecko, w niektórych ośrodkach co roku się wydłuża. - Adopcji jest mało ze względu na długi czas regulowania sytuacji prawnej dziecka. Dopóki ono nie będzie miało uporządkowanych spraw z przeszłości, nie może zacząć innej przyszłości - zaznaczają dyrektorzy ośrodków adopcyjnych.

Uregulowana sytuacja prawna

Najwyższa Izba Kontroli, która pochyliła się nad kwestią adopcji, wyciągnęła wnioski, potwierdzające słowa dyrektorów. Inspektorzy wskazywali: - Procedura adopcyjna trwa przeciętnie 2 lata. Liczba potencjalnych rodziców znacznie przewyższa liczbę dzieci z uregulowaną sytuacją prawną, umożliwiającą ich adopcję. Problemem jest brak jednolitych dla całego kraju wymogów i kryteriów stosowanych podczas adopcji, dlatego praktyka różni się w ośrodkach. (...) Wielokrotnie ustalają one własne zasady, wykraczające poza uregulowania ustawowe, np. w kwestii dokumentacji, szkoleń, kryteriów kwalifikacyjnych.

To jeszcze nic: w innych ośrodkach, jak informują kontrolerzy Izby, kandydaci przedstawiali dane z wyroków rozwodowych w przypadku drugiego małżeństwa. W dwóch katolickich ośrodkach gromadzono dane dotyczące kandydatów na rodziców pochodzące z opinii parafii i świadectwa ślubu kościelnego. W następnych wprowadzono kryteria odnośnie wieku kandydatów starających się o adopcję.

A propos wieku: - Polskie prawo nie przewiduje maksymalnego wieku dla rodziców adopcyjnych - tłumaczy Anna Sobiesiak, dyrektor Kujawsko-Pomorskiego Ośrodka Adopcyjnego w Toruniu. - Kodeks Rodzinny i Opiekuńczy mówi jedynie o tym, że pomiędzy adoptowanym a rodzicami powinna istnieć odpowiednia różnica wieku. W naszym kraju przyjęło się, że ma być to nie mniej niż 18 lat i nie więcej niż 40. Stąd rodzice, którzy skończyli 40 lat, mają mniejsze szanse na adopcję noworodka od osób, które są 10 czy 20 lat od nich młodsze. Chodzi przede wszystkim o to, aby rodzice mieli możliwość zapewnienia dziecku opieki i wychowania aż do uzyskania przez adoptowanego pełnego usamodzielnienia. W rodzinie adopcyjnej powinny panować warunki jak najbardziej zbliżone do tych, które spotyka się w rodzinach biologicznych. Osoby, które ukończyły 40. rok życia, mogą adoptować dzieci, uwzględniając odpowiednią różnicę wieku.

Pani dyrektor zwraca uwagę na kolejny aspekt. - Dzieci adoptowane chcą mieć atrakcyjnych rodziców podążających za ich potrzebami emocjonalnymi, zdrowotnymi czy fizycznymi. Nie zapominać należy również o różnicy międzypokoleniowej. Naturalne jest także to, że osoby powyżej 45 czy 50 lat przygotowują się już do pełnienia roli dziadków.

Pewien psycholog mówi: - Niektórzy kandydaci na rodziców zachowują się jak klienci sklepu. Myślą, że wybiorą sobie córkę czy syna. Będą kierować się wyglądem wychowanka. Ładne dziecko będzie pasować do ładnego domu. Naszą rolą jest w takiej sytuacji wskazać tym zainteresowanym właściwą drogę. Tę do wyjścia z placówki.

Imiona dzieci zmieniono.

eprasa.pl 9875dceec8

Daniel Ludwiński. Nasz człowiek na igrzyskach w Pekinie

Pasje

Dział Sportowy

Będzie towarzyszył polskim sportowcom podczas rywalizacji. Pokaże nam igrzyska „od kuchni", opisze pobyt w olimpijskiej wiosce i to, jak organizatorzy wielkich sportowych imprez radzą sobie w pandemicznym czasie. Nasz redakcyjny kolega Daniel Ludwiński zrelacjonuje nam zimowe igrzyska w Pekinie od pierwszego dnia do końca rywalizacji. Jak to się stało, że dziennikarz z północy Polski trafił na typowo zimową imprezę? By to zrozumieć, trzeba poznać niezwykłą historię Daniela.

Dziennikarz sportowy. Autor książek. Przewodnik po Toruniu. Szachista, biegacz (klasyczny i narciarski), amator gry w siatkówkę. Kolekcjoner. Miłośnik przyrody, zwłaszcza ptaków. Mówiąc o Danielu, że jest barwną postacią, to jakby nic nie powiedzieć.

Urodził się w znanej w świecie kultury rodzinie. Jego tata - Jerzy Ludwiński, był znanym i cenionym profesorem historii sztuki nowożytnej, m.in. wykładowcą Akademii Sztuk Pięknych w Poznaniu i krytykiem sztuki. O mamie, Małgorzacie Iwanowskiej-Ludwińskiej można powiedzieć: malarka, pisarka i poetka. Oboje byli również kibicami sportu. Nic dziwnego, że i na Daniela przeszła ich pasja.

- Pierwszym „moim" sportem był - co w Toruniu nie jest niczym wyjątkowym - oczywiście żużel - wspomina. - Nie pamiętam zupełnie początków, gdyż chodzenie na mecze i codzienne emocjonowanie się tym sportem było dla mnie czymś oczywistym i naturalnym, czymś, w czym dorastałem. Mogę w najbardziej dosłownym rozumieniu tych słów powiedzieć, że uczyłem się dodawania na programach żużlowych, a czytania na „Tygodniku Żużlowym". Od żużla się więc wszystko zaczęło, a trzeba dodać, że były to wspaniałe dla Apatora lata 90.

O ile zainteresowanie żużlem w przypadku młodego chłopaka z Torunia nie było niczym wyjątkowym, to już fascynacja sportami zimowymi do częstych przypadków wśród ludzi z północy kraju nie należy.

W ślady taty

- Sportami zimowymi zainteresowałem się dzięki igrzyskom w Lillehammer, które wyjątkowo mnie zachwyciły - wyjaśnia Daniel. - Atutem narciarstwa było też to, że terminowo idealnie uzupełniało się z żużlem; koniec sezonu w jednej dyscyplinie oznaczał początek w drugiej. A wracając jeszcze do Lillehammer i igrzysk jako takich, wielkim fanem sportu, w tym oczywiście sportu olimpijskiego, był mój tata. Do dziś wielu jego kolegów profesorów i artystów wspomina, że o ile oni nie mieli o sporcie pojęcia, o tyle on był pod tym względem wyjątkowy i przyjeżdżając np. na swoje wykłady, zawsze miał przy sobie „Przegląd Sportowy". Tata uczył mnie więc, kim są Alberto Tomba (mój pierwszy sportowy idol z dzieciństwa), Marc Girardelli, Bjoern Daehlie, Aleksiej Prokurorow czy Jens Weissflog, a więc gwiazdy narciarstwa tamtych lat. Wspólnie oglądaliśmy zawody w skokach, emocjonowaliśmy się tym, że 18-letni Adam Małysz z Polski skacze coraz lepiej, aż w końcu w 1996 roku wygrywa w Oslo swój pierwszy konkurs Pucharu Świata. Sporty zimowe pozostały, obok żużla, moją największą sportową miłością. Mam kontakty z wieloma kibicami z całego świata, wspólnie wymieniamy się rozmaitymi pamiątkami, archiwalnymi nagraniami na płytach DVD, dyskutujemy.

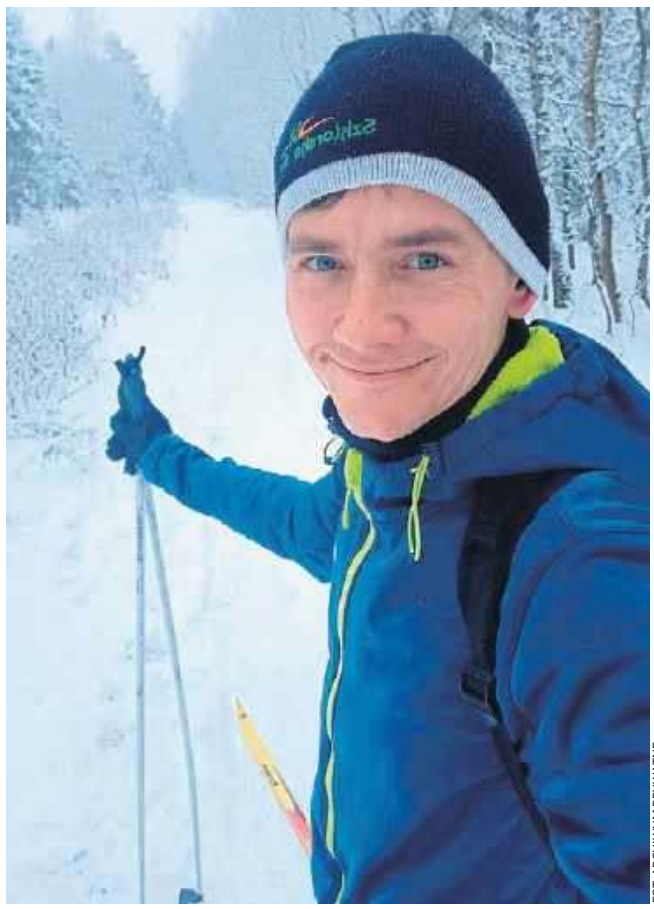

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

Jak spadnie śnieg, Daniel zakłada narty i biega po leśnych trasach

Kolekcja Daniela jest rzeczywiście niebywała. Potrafił na przykład skompletować telewizyjne relacje niemal ze wszystkich olimpijskich turniejów skoków narciarskich, od kiedy zaczęto pokazywać je na szklanym ekranie.

Szachowy mistrz

Nasz dziennikarz nie ogranicza się tylko do kibicowania i pisania o sporcie. Dużo jeździ rowerem, biega, bierze udział w różnych amatorskich imprezach, jeśli spadnie śnieg, zakłada narty i pokonuje na nich kolejne kilometry w okolicznych lasach.

Największą pasją są dla niego jednak... szachy.

- Przez długi czas były dla mnie czymś, o czym wiedziałem tylko, że są pasją mojego sąsiada, Krzysztofa Woźniaka, kierownika sekcji szachowej w Apatorze. Zasad nauczyłem się dość późno, bo pod koniec szkoły podstawowej, a w turniejach zacząłem grać w klasie maturalnej, na dobre połykając bakcyla. Oczywiście w porównaniu z profesjonalistami jest to wciąż poziom amatorski, ale chciałbym jeszcze powalczyć o zdobycie tytułu kandydata na mistrza. Z wygranych turniejów najwyżej cenię sobie pierwsze miejsce w zawodach „Szachy w Harmonijce", organizowanych w Collegium Minus. Jestem też kapitanem jednej z drużyn ligowych AZS-u UMK, w której gram w tym sezonie mistrzostw województwa.

Nie ma się co dziwić, że osoba tak związana ze sportem postanowiła spróbować swoich sił w dziennikarstwie. Dla Daniela stało się ono głównym zajęciem i źródłem utrzymania.

Ambitny samouk

- Dziennikarską przygodę zaczynałem w akademickim Radiu Sfera i na portalu SportoweFakty.pl. Najważniejsze było jednak dołączenie do redakcji „Tygodnika Żużlowego", który od 30 lat cieszy się w żużlowym środowisku poważaniem. W „TŻ" nauczyłem się więc dużo, bo byłem jedynym korespondentem z Torunia, a niekiedy wysyłano mnie także w delegacje poza Toruń. Równolegle współpracowałem z Wirtualną Polską, jeżdżąc m.in. na zawody PŚ w skokach i biegach narciarskich. I po kilku latach przyszedł czas na „Nowości", gdy dostałem propozycję pracy od redaktora Piotra Bednarczyka.

- Danielowi przypatrywałem się od jakiegoś czasu - mówi Piotr Bednarczyk. - Śledziłem to, co pisze w prasie i w Internecie. Imponował nie tylko swoją wiedzą o sporcie, ale i wzorcową wręcz polszczyzną, a wiadomo, że z tym u dzisiejszej młodzieży bywa różnie. Dlatego gdy zwolnił się etat w naszym dziale sportowym, zaproponowałem „Ludwiniowi" pracę w „Nowościach". Zdecydował się niemal od razu. Bardzo szybko okazał się strzałem w dziesiątkę. Dałem mu tylko kilka wskazówek, jak obsługiwać system do łamania stron w gazecie, jak wprowadzać materiały do naszego panelu internetowego i poleciłem wyrobić sobie kontakty w toruńskim środowisku sportowym, zwłaszcza futbolowym, bo przejął tę ważną działkę. Czekałem, kiedy przyjdzie po jakąś pomoc. Nie przyszedł. Ambitnie niemal ze wszystkim radził sobie sam.

Praktycznie od początku pracy w wydawnictwie Polska Press Daniel pisał do trzech lokalnych tytułów - „Nowości", „Gazety Pomorskiej" i „Expressu Bydgoskiego". Z czasem wyszły na jaw jego zainteresowania sportami zimowymi i zaczął dostawać od centrali w Warszawie zlecenia pisania o skokach narciarskich, biegach, biathlonie itp. Jego materiały ukazują się w prasie lokalnej w całej Polsce - od Rzeszowa po Szczecin, od Białegostoku po Wrocław.

> **Mogę powiedzieć, że uczyłem się dodawania na programach żużlowych, a czytania na „Tygodniku Żużlowym"**
>
> Daniel Ludwiński

Daniel Ludwiński jest też autorem książek o tematyce sportowej. Wcześniej napisał m.in. biografię żużlowca i trenera Stali i Apatora Toruń Jana Ząbika. Niedawno ukazała się jego książka „Od dirt-tracku do Motoareny. Opowieść o toruńskim żużlu"

- Praca nad nią była wspaniałą przygodą - ożywia się autor na samo wspomnienie. - Spotkałem się z blisko 120 osobami, zarówno zawodnikami, jak i m.in. działaczami, trenerami, mechanikami. Zebranie materiału zabrało mi 2,5 roku i niekiedy wymagało podróży po Polsce, gdyż nie wszyscy rozmówcy mieszkają na co dzień w Toruniu. Założenie od początku było takie, że ma to być publikacja wspomnieniowa, chwilami sentymentalna, chwilami zabawna, pełna anegdot i barwnych wspomnień z przeszłości toruńskiego żużla, a nie liczb i statystyk. Z tego, co słyszę od wielu osób, chyba się to udało. Książka nadal jest dostępna, a jej dystrybucją zajmuje się toruński klub.

Niedoszły ornitolog

Nie tylko sportem jednak Daniel żyje.

- Toruń zawsze był mi bliski i stąd blisko 10 lat temu pojawił się pomysł, aby zostać przewodnikiem. Obecnie z uwagi na inne obowiązki jest to praca dodatkowa, ale zawsze sprawiająca ogromną satysfakcję. Szczególnie lubię oprowadzać grupy możliwie jak najbardziej kameralne - spacerując z 2-3 osobami, można pokazać więcej i dokładniej, niż gdy grupa liczy 45 osób. W ramach działalności przewodnickiej prowadzę również stronę stropywtoruniu.blogspot.com, na której popularyzuję wiedzę o toruńskich polichromiach stropowych.

Co jakiś czas Daniel bierze urlop, by... obserwować ptaki.

- Zainteresowania przyrodnicze pojawiły się dość nietypowo, bo nikt z bliskich nie był przyrodnikiem. W rodzinnej bibliotece były jednak m.in. atlasy ptaków, ssaków czy gadów. Od dzieciństwa lubiłem je oglądać i czytać, aż szczególnie bliska stała mi się awifauna. Był nawet czas, gdy jako dziecko myślałem, że zostanę zawodowym przyrodnikiem-ornitologiem. Ostatecznie tak się nie stało, ale w wolnych chwilach miałem już przyjemność jeździć na przyrodnicze obserwacje m.in. do doliny Biebrzy, nad ujście Warty czy na zimowy rejs po Bałtyku umożliwiający obserwacje morskich ptaków. Tak naprawdę przyroda może jednak zaskoczyć wszędzie. Ogólnopolską ptasią sensacją początku stycznia stał się świergotek nadmorski przebywający przy toruńskiej przystani AZS-u, a jest to gatunek ptaka niemal wcale niespotykany w głębi Polski.

Przyniesie szczęście?

Na jakiś czas ptaki muszą pójść na bok. Daniel został wytypowany jako przedstawiciel wydawnictwa Polska Press do wyjazdu na zimowe igrzyska w Pekinie.

- Decyzję o wyborze podjął Robert Zieliński, który wówczas szefował sportowi w Polska Press - mówi Daniel. - W grę wchodził jeszcze wyjazd na piłkarskie Euro, ale w porównaniu ze sportami zimowymi międzynarodowa piłka nożna zdecydowanie nie jest moją mocną stroną. Przez ostatnie miesiące konieczne było spełnienie niezliczonych formalności, szczególnie tych dotyczących spraw covidowych. Na miejscu w Pekinie czeka mnie spora niewiadoma - pierwsze wieści płynące od kolegów z innych redakcji, którzy są już w Chinach, mówią, że na miejscu nie brakuje licznych absurdów. Gospodarze igrzysk przygotowali jednak też wiele udogodnień dla mediów, w tym dostęp do superszybkiej kolei, która pozwoli sprawnie przemieszczać się z jednej strefy igrzysk do drugiej. Będzie to istotne, bo np. skocznie narciarskie od toru łyżwiarskiego dzieli około 200 kilometrów.

Daniel będzie obsługiwał igrzyska od pierwszego dnia do końca rywalizacji, relacjonując je na naszych łamach. Jeszcze przed wyjazdem przeprowadzał długie analizy, co zrobić, żeby obejrzeć jak najwięcej zawodów. Na pewno nie zabraknie go tam, gdzie Polacy mają medalowe szanse. Z pewnością pokaże nam również igrzyska „od kuchni", zrelacjonuje pobyt w olimpijskiej wiosce i to, jak organizatorzy wielkich sportowych imprez radzą sobie w pandemicznym czasie.

Czekamy więc na dobre wieści ze stolicy Chin! ©℗

eprasa.pl 9875dceec8

Zdobył Moskwę i wygrał wyjazdowy baraż. A jednak - Kulesza zaskoczył

Adam Godlewski
redakcja@polskapress.pl

Piłka nożna

Co zadecydowało o tym, że Czesław Michniewicz na finiszu wyścigu po stanowisko selekcjonera reprezentacji Polski wyprzedził Adama Nawałkę? Zapewne prezes PZPN Cezary Kulesza pod uwagę wziął dwa istotne fakty.

FOT. SYLWIA DĄBROWA

Już jako rezerwowy bramkarz Czesław Michniewicz dał się poznać w Amice talentami... medialnymi

Po pierwsze, ale nie najważniejsze, 52-szkoleniowiec niedawno zdobył Moskwę, wygrywając z Legią z tamtejszym Spartakiem. A nieco wcześniej, i to chyba przesądziło, zwyciężył z naszą kadrą U-21 w barażu o finały młodzieżowego Euro ze znacznie wyżej notowaną Portugalią. Na dodatek, decydujący cios zadając na wyjeździe. Zatem - z osobna - zwycięstwo na terenie przeciwnika w rywalizacji o udział w poważnym turnieju, jak i podbój stolicy Rosji Michniewicz ma CV. Czy zdoła dokonać tego za jednym zamachem 24 marca na stadionie Dynama?

***

Piłkarzem, konkretnie bramkarzem - a warto dodać, iż jest pierwszym byłym golkiperem, który został samodzielnym selekcjonerem reprezentacji Polski - Michniewicz był trzecioplanowym. Uzbierał raptem 9 meczów w ekstraklasie i 34 minuty w Pucharze UEFA przeciw Atletico w Madrycie. Gola wbił mu wówczas Ruben Baraja, a rękawicami wymienił się Jose Molina - prekursor gry nogami wśród golkiperów, który lubił dublować pozycję libero. Tyle że oglądanie boiska z perspektywy bramki dobrze przygotowało mierzącego 188 centymetrów dryblasa do szerszego spojrzenia na grę. Szkoleniowego. Doskonale pamiętam moment - był lipiec 2001 roku - kiedy Czesław został w Amice... zdegradowany do roli trenera. O tym jednak za chwilę.

W ekstraklasie zagrał dzięki Ryszardowi Forbrichowi, później znanemu jako „Fryzjer", który sprowadził go z Polonii Gdańsk zarządzanej w tamtym czasie przez prominentnego działacza NSZZ „Solidarność" Jerzego Borowczaka. Tyle że przed przeprowadzką do Amiki, karta Michniewicza była już własnością byłego ligowego golkipera, a później ligowego arbitra - Andrzeja Czyżniewskiego. To nie pomyłka, w polskim futbolu ery wczesnego kapitalizmu obowiązywały zasady wzięte z wolnej amerykanki. Wielu odbiły się czkawką, ale akurat Michniewiczowi wyszło to na zdrowie. Miał potężny zasięg ramion, był bardzo solidny; nie dawał klopsów i nie narzekał na rolę rezerwowego. To bodaj pierwszy absolwent wyższej uczelni w historii zawodowego zespołu Amiki, od początku znacząco wyróżniał się wśród kolegów talentami... medialnymi. Dlatego, choć grał rzadko, wypowiadał się często.

Zresztą nie tylko do prasy. O ile trenerzy, a miał już na poziomie ekstraklasy szkoleniowca po szkole... strażackiej, miewali kompleksy wobec dyplomu AWF, którym mógł się pochwalić, o tyle koledzy z szatni cenili znajomość prawa podatkowego - i nie tylko podatkowego - którą wykazywał się przy podpisywaniu/przedłużaniu kontraktów oraz przy składaniu PIT-ów. W zasadzie w tamtym czasie pełnomocnik nie był potrzebny w szatni Amiki, bo wszelką fachową pomocą w tym zakresie służył rezerwowy golkiper.

***

Michniewiczowi dobrze było w roli bramkarza numer 2, dlatego bardzo przeżył wspomnianą degradację na szkoleniowca. Ledwie zdążył skończyć 30 lat, i nie był wyeksploatowanym zawodnikiem, gdy - nagle i niespodziewanie - został przez Stefana Majewskiego sprowadzony do roli trenera rezerw. Bardzo chciał podpisać jeszcze jeden kontrakt jako piłkarz, więc świat przynajmniej na moment zawalił mu się na głowę. Owszem, zamierzał zostać szkoleniowcem (prowadził już nawet grupy młodzieżowe), ale dopiero za kilka lat. Był zły na „Doktora", czego w prywatnej rozmowie, jaką odbyliśmy latem 2001 roku, absolutnie nie krył. Już wówczas jednak - mimo dużych nerwów - w pierwszej kolejności postanowił zadbać o zaplecze... medialne. Jakby kierowany siódmym zmysłem wyczuwał, że to w najbliższych latach będzie element (nie tylko jego) warsztatu.

Z tamtej wymiany zdań sprzed 20 lat, szczególnie zapamiętałem założenie Michniewicza, że przed każdym meczem chce mieć przygotowany nie tylko plan A, ale także B. Słowa dotrzymał już w 2007 roku. Sięgając po tytuł mistrza Polski z Zagłębiem Lubin, potrafił nauczyć lubińskich piłkarzy płynnego przechodzenia na różne systemy w trakcie gry. Dlatego, jeśli zapowiada, że jego celem jest, aby reprezentacja była w ten sposób sprawna taktycznie w Moskwie, to nie ma powodu podawać tego w wątpliwość...

***

Trenerem Lecha Poznań, w ekstraklasie, został w 2003 roku chyba w sposób jeszcze bardziej - dla niego - zaskakujący niż reprezentacji na początku 2022. Otóż jechał już pociągiem z Wielkopolski do Trójmiasta, gdy dostał telefon, żeby wysiadł na najbliższej stacji, wziął taksówkę i przyjechał wprost do domu jednego z ówczesnych działaczy Kolejorza. Niezależnie od tego, a już minął Gniezno, ile to będzie kosztowało. I to tam ustalił konkrety umowy, która zaprocentowała wywalczeniem Pucharu Polski w roku w 2004. A także... 711 połączeniami telefonicznymi w latach 2003-2005 z Forbrichem - wówczas wiceprezesem Wielkopolskiego Związku Piłki Nożnej, później uznanym za szefa mafii piłkarskiej - które są mu wypominane do dziś. O czym rozmawiali? Tego zapewne nie dowiemy się nigdy, choć spisując książkową spowiedź „Fryzjera" przed dekadą, zapytałem o ten wątek.

Duńczyków wyprowadził na manowce lipnym treningiem stałych fragmentów. A potem zagrał z nimi niedopompowanymi piłkami

- Tylko 711 było tych połączeń? To w sumie niedużo. Lubiłem z nim rozmawiać, bo pogadanka z Michniewiczem to była czysta przyjemność. Anegdotami Czesław sypał jak z rękawa, znał wszystkie najświeższe kawały, a i do piłkarzy, do nazwisk, do schematów na boisku, do wyników miał komputerową pamięć - usłyszałem, jak wynika z moich notatek, w odpowiedzi, która zapewne niewielu dziś usatysfakcjonuje. - Zresztą, jeśli byłem już wtedy na podsłuchu, to gdyby coś w tych rozmowach było procesowego, zostałoby w procesie użyte...

***

Drony, laptopy i komputery rodem z NASA, czy szpiegowskie komórki, to akurat w jego przypadku nie są ozdobne gadżety. Naprawdę umie zrobić z nich użytek. A jeśli ktoś nie wierzy - polecam pójść na wykład świeżo upieczonego selekcjonera.

Miałem taką okazję w grudniu 2019 roku, na kursokonferencji szkoleniowej organizowanej przez Dolnośląski ZPN. Michniewicz pokazywał akurat prezentację z pełnego mikrocyklu młodzieżówki przed barażami z Portugalią. I był to kawałek wręcz pasjonującego kina! Od nauki chodzenia (przesuwania na sucho) w obronie powtarzanej do znudzenia. Po bardzo dokładną charakterystykę każdego z osobna gracza rywali, którą na potrzeby polskiego szkoleniowca zrobił portugalski skaut wynaleziony przez asystenta Michniewicza, Kamila Potrykusa.

Podobno Iberyjczyk działał charytatywnie, ale w to trudno uwierzyć. Robota była bowiem wykonana tak perfekcyjnie, że trudno nawet sobie wyobrazić, żeby ktoś działał z takim oddaniem dla rozrywki.

***

Pracę wywiadowczą ma opanowaną do perfekcji, i nie stroni od niestandardowych metod. Poprzednio do rozpracowania (młodzieżowej) reprezentacji Rosji nie zawahał się zatrudnić twitterowej specjalistki od tamtejszej Priemjer Ligi, Katarzyny Lewandowskiej. Ba, parał się nawet piłkarskim kontrwywiadem, bo duńskich wysłanników - odpowiednio poinstruowany przez analityka pierwszej reprezentacji Huberta Małowiejskiego - wyprowadził na manowce na zgrupowaniu w Grodzisku. Lipnym treningiem stałych fragmentów. A potem - choć stanowczo temu zaprzecza, ale w tym względzie także trudno dać wiarę - zagrał z Duńczykami niedopompowanymi piłkami; żeby wyprowadzić z równowagi lepiej technicznie wyszkolonego przeciwnika. Co pokazuje, jak bardzo nie stroni od niekonwencjonalnych metod w pracy. I że może podjąć rękawicę, którą zapewne rzucą znani ze skłonności do nieczystej gry Rosjanie...

***

Ostatnia kadencja w Legii, ale też i wcześniejsze w Zagłębiu i w Lechu, mają cechę wspólną. Taką mianowicie, że kłopoty Michniewicza zaczynały się dopiero po... sukcesie. Miewał w takich chwilach tendencje do wchodzenia w zwarcia z piłkarzami, przez co tracił szatnię.

Dziś powinien być o tamte doświadczenia mądrzejszy; a nawet jeśli nie - zakochanie się w sobie z wzajemnością podczas marcowych barażyjeszcze selekcjonerowi nie grozi. To pracoholik, który daje gwarancję, że wykona gigantyczną pracę analityczną. A później zada do odrobienia pracę domową piłkarzom.

Być może takie podejście to efekt... dymisji, którą dostał tuż przed Bożym Narodzeniem w 2011 roku od Cezarego Kuleszy. Ówczesny prezes Jagiellonii chciał przegadać nieudaną rundę i omówić transfery. Zadzwonił więc do szkoleniowca, aby zaprosić go na rozmowę:

- Prezesie, ale ja już jestem w Gdyni - padła odpowiedź.

- To wsiadaj w pociąg i jutro się widzimy.

- No, nie bardzo. Bo na jutro wykupiłem bilet na wakacje. Wylatuję nad ciepłe morze.

- To w takim razie już nie wracaj do Białegostoku. Bo u mnie już nie pracujesz..

***

Rozstanie, po zaledwie 5 miesiącach współpracy, do miłych nie należało; a i wcześniej nie sposób było dopatrzeć się chemii we wzajemnych relacjach. Dlatego właśnie selekcjonerską nominację, którą Kulesza wręczył Michniewiczowi, trudno odbierać inaczej niż jako zaskakującą.

Być może nie bez znaczenia był także fakt, że prezes PZPN, nie mogąc zdecydować się na kandydata z Polski lub z zagranicy, zdecydował się na rozwiązanie ... pośrednie. Michniewicz przyszedł przecież na świat w Brzozówce na Białorusi, jako obywatel Związku Radzieckiego. A mama Czesława dostała nawet z tego powodu gratulacje od Leonida Breżniewa, pierwszego sekretarza komunistycznej partii tego nieistniejącego już imperium...

eprasa.pl 9875dceec8

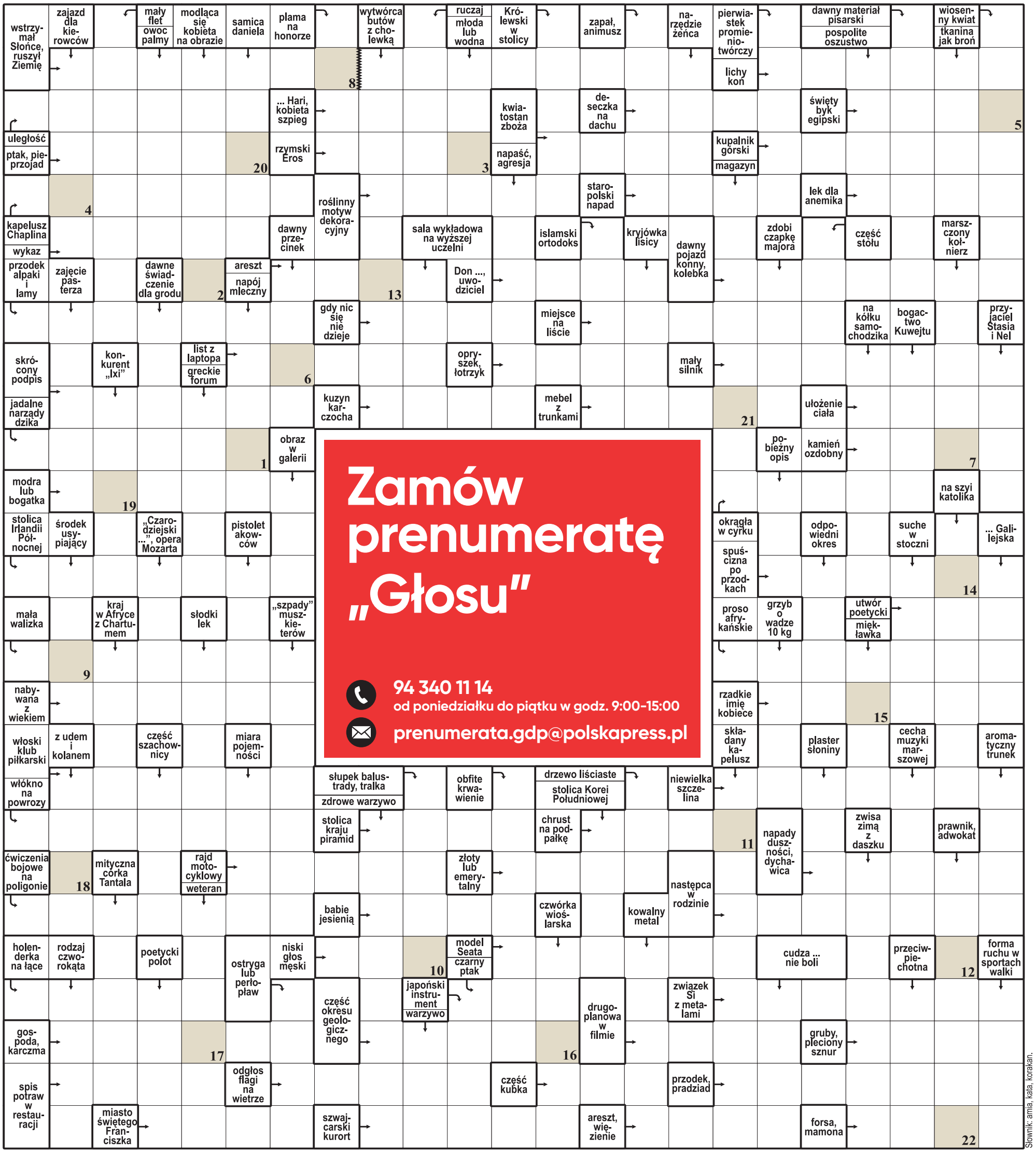

Zamów prenumeratę „Głosu"
94 340 11 14
od poniedziałku do piątku w godz. 9:00-15:00
prenumerata.gdp@polskapress.pl

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22

Litery z pól ponumerowanych od 1 do 22 utworzą rozwiązanie – myśl Feliksa Rajczaka.

ROZWIĄZANIE: I KRES MA JESZCZE MARGINES.

eprasa.pl 9875dceec8

Drobne

Jak zamieścić ogłoszenie drobne? Telefonicznie: 94 347 35 12
Przez internet: ibo.polskapress.pl
W Biurze Ogłoszeń:

Oddział Koszalin: ul. Mickiewicza 24, 75-004 Koszalin, tel. 94 347 35 12
Oddział Słupsk: ul. Henryka Pobożnego 19, 76-200 Słupsk, tel. 59 848 81 03
Oddział Szczecin: ul. Nowy Rynek 3, 71-875 Szczecin, tel. 91 481 33 67, fax 91 433 48 60

RUBRYKI W OGŁOSZENIACH DROBNYCH:

- NIERUCHOMOŚCI
- HANDLOWE
- MOTORYZACJA
- FINANSE/BIZNES
- NAUKA
- PRACA
- ZDROWIE
- USŁUGI
- TURYSTYKA
- BANK KWATER
- ZWIERZĘTA
- ROŚLINY, OGRODY
- MATRYMONIALNE
- RÓŻNE
- KOMUNIKATY
- ŻYCZENIA /PODZIĘKOWANIA
- GASTRONOMIA
- ROLNICZE
- TOWARZYSKIE

Nieruchomości

MIESZKANIA - SPRZEDAM

SPRZEDAM lub zamienię 3-pok z balkonem na mniejsze. Tel.511-687-000

DZIAŁKI, GRUNTY SPRZEDAM

DZIAŁKA zabudowana 1 ha Dąbrówka gm. Damnica, 607157735.

GARAŻE

0010392591

POŚREDNICTWO

0010382225

OMEGA
WYCENY
OBRÓT
SŁUPSK, UL. STARZYŃSKIEGO 11
tel. 59 841 44 20;
601 654 572;
www.nieruchomosci.slupsk.pl
omega@nieruchomosci.slupsk.pl

REKLAMA 0310409357

ABAKUS
Sprawnie i bezpiecznie
nie wydawaj na ogłoszenia, nie trać swojego czasu
Zleć nam sprzedaż swojej nieruchomości
tel. 661-841-555
www.abakus-nieruchomosci.pl

MOŻLIWOŚĆ ZAKUPU PRZEZ OBCOKRAJOWCÓW
2 pok., rej. Emki 209 900,-

Duża loggia, rej. Sucharskiego
można zaaranżować 3 pokoje
do negocjacji 285 000,-

3 pok. 61,3m², balkon
rej. Kostenckiego
403 000,-

Handlowe

FILMY, MUZYKA

KUPIĘ PŁYTY GRAMOFONOWE 609 155 327

MATERIAŁY OPAŁOWE

KUPIĘ drewno opałowe w ilości 100m^3, kłody - klon, buk, dąb tel. 602 57 90 49

Motoryzacja

OSOBOWE KUPIĘ

AUTO skup wszystkie 695-640-611

MOTOCYKLE KUPIĘ

Kupię pojazdy, jednoślady, części z PRL. stan obojętny: 608-172-934

USŁUGI

TŁUMIKI, katalizatory, złącza. Czekaj Zbigniew.

Koszalin, Szczecińska 13A (VIS).

Tel: 94-3477-143; 501-692-322.

Praca

ZATRUDNIĘ

NIEMCY: murarz, cieśla, malarz, elektryk, spawacz: 601-218-955.

PILNIE: operatorów koparek, kierowców C+E, pracownik fizyczny, kontakt: herkulesrozbiorki@wp.pl lub tel. 510 248 991, praca pomorskie

POMOC biurowa:
-Pomoc w prowadzeniu dokumentów
-zakupu/sprzedaży.
Oczekujemy:
-znajomość j. angielskiego (w mowie i piśmie).
Oferujemy:
-atrakcyjne wynagrodzenie
-stabilne zatrudnienie w firmie
-dodatkowe ubezpieczenie grupowe
-praca od 8:00 do 16:00 pn-pt
Email: info@pomerania.pl

PRACA DLA OPIEKUNÓW OSÓB STARSZYCH W NIEMCZECH, ZAROBKI DO 1800 EURO MIESIĘCZNIE, DARMOWY PRZEJAZD, SPRAWDZONE OFERTY. Tel. 518 733 727

PRACA dla Opiekunów seniorów w Polsce z zamieszkaniem u podopiecznego. Wymagane doświadczenie w opiece. Promedica24 Tel. SZCZECIN -51776102, 514781657, KOSZALIN- 501357022, SŁUPSK - 509892644

Zdrowie

NEUROLOGIA

SPEC. Neurolog. NFZ. Bez kolejek.

Codziennie. Koszalin, 605-284-364.

INNE

ALKOHOLIZM - esperal 602-773-762

Usługi

AGD RTV FOTO

59/8430465 Serwis RTV, LCD, plazma

PRALKI Naprawa w domu. 603775878

BUDOWLANO-REMONTOWE

CYKLINOWANIE bezpyłowe 504308000

KAFELKI, gładzie. 731084545 GK

MALOWANIE dachów788-016-988

REMONT mieszkań tel. 537-920-784.

REMONTY, wykończenia. Słupsk, 691461552

INSTALACYJNE

HYDRAULICZNE, tel. 607703135.

PORZĄDKOWE

SPRZĄTANIE strychów, garaży, piwnic, wywóz starych mebli oraz gruzu w bigbagach, 607-703-135.

Różne

KASA za stare książki 609-643-399

ZŁOM kupię, potnę, przyjadę i odbiorę, tel. 607703135.

Rolnicze

MASZYNY ROLNICZE

KUPIĘ ciągniki, przyczepy, maszyny rolne. Tel. 535135507.

PŁODY ROLNE

ZBOŻE sprzedam, 607765316

ZWIERZĘTA HODOWLANE

KURKI młode, odchowane oraz kury roczne sprzedam tel. 785-188-999

INNE

FIRMA ZETPEZET Sp. z o.o. w Pile poszukuje nowych rolników chętnych

do uprawy ziemniaków na produkcję skrobi dla zakładu w Pile.

Oprócz warunków proponowanych przez zakład, produkcja ziemniaków skrobiowych

jest dotowana przez ARiMR. Zapraszamy do współpracy.

Kontakt telefoniczny 515187812

AUTOPROMOCJA

Czytaj tak
jak lubisz

gs24.pl

GS24.pl

GŁOS DZIENNIK POMORZA

www.gp24.pl
www.gk24.pl
www.gs24.p

Prezes oddziału Polska Press
Piotr Grabowski, piotr.grabowski@polskapress.pl
Redaktor naczelny
Przemysław Szymańczyk
przemysław.szymanczyk@polskapress.pl,
tel. 607 287 664

Zastępcy redaktora naczelnego
Marcin Stefanowski, Koszalin, tel. 697 770 227
marcin.stefanowski@polskapress.pl
Ynona Husaim-Sobecka, Szczecin, tel. 697 770 218
ynona.sobecka@polskapress.pl
Wojciech Frelichowski, Słupsk, tel. 519 503 638
wojciech.frelichowski@polskapress.pl

Dyrektor drukarni
Stanisław Sikora, tel. 602740087
s.sikora@pprint.pl
Dyrektor działu marketingu
Robert Gromowski, tel. 502 339 113
robert.gromowski@polskapress.pl

Dyrektor działu reklamy
Ewa Żelazko, tel. 500 324 240
ewa.zelazko@polskapress.pl
Prenumerata, tel. 94 340 11 14
Głos Koszaliński - www.gk24.pl
ul. Mickiewicza 24,
75-004 Koszalin, tel. 94 347 35 00, fax 94 347 35 13
tel. reklama: 94 347 35 72,
redakcja.gk24@polskapress.pl,
reklama.gk24@polskapress.pl
Głos Pomorza - www.gp24.pl
ul. Henryka Pobożnego 19, 76-200 Słupsk,
tel. 59 848 81 00, fax 59 848 81 04,
tel. reklama: 59 848 81 11,
redakcja.gp24@polskapress.pl,
reklama.gp24@polskapress.pl
Głos Szczeciński - www.gs24.pl
ul. Nowy Rynek 3, 70-533 Szczecin,
tel. 91 481 33 00, fax 91 481 33 60,
tel. reklama: 91 481 33 92,
redakcja.gs24@polskapress.pl
reklama.gs24@polskapress.pl

ODDZIAŁY
Szczecinek ul. Plac Wolności 6, 78-400 Szczecinek,
tel. 94 374 88 18, fax 94 374 23 89
Stargard ul. Wojska Polskiego 42, 73-110 Stargard,
tel. 91 578 47 28, fax 91 578 17 97,
reklama tel. 91 578 47 28

©℗ - umieszczenie takich dwóch znaków przy Artykule, w szczególności przy Aktualnym Artykule, oznacza możliwość jego dalszego rozpowszechniania tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty zgodnie z cennikiem zamieszczonym na stronach www.gk24.pl/tresci, www.gp24.pl/tresci, www.gs24.pl/tresci, i w zgodzie z postanowieniami niniejszego regulaminu.

Polskie Badania Czytelnictwa
Nakład Kontrolowany ZKDP

POLSKA PRESS GRUPA

WYDAWCA
Polska Press Sp. z o.o.
ul. Domaniewska 45, 02-672 Warszawa,
tel. 22 201 44 00, fax: 22 201 44 10
Skład Zarządu:
Tomasz Przybek, Prezes Zarządu
Dorota Kania, Członek Zarządu
Maciej Kossowski, Członek zarządu
Miłosz Szulc, Członek zarządu

Dyrektor artystyczny
Tomasz Bocheński
Dyrektor marketingu
Sławomir Nowak, sławomir.nowak@polskapress.pl
Dyrektor zarządzający biura reklamy
Maciej Kossowski
maciej.kossowski@polskapress.pl
Dyrektor kolportażu
Karol Wlazło karol.wlazlo@polskapress.pl
Agencja AIP
kontakt@aip24.pl
Rzecznik prasowy
Adrian Majchrzak, tel. 22 201 44 38,
adrian.majchrzak@polskapress.pl

eprasa.pl 9875dceec8

Mariusz Grabowski
mariusz.grabowski
@polskapress.pl

Film

Johnny Depp po przerwie wraca do aktorstwa i będzie teraz królem. Konkretnie Ludwikiem XV, władcą Francji. Czy tym samym okres banicji aktora, który zaczął się po doniesieniach jakoby znęcał się nad byłą żoną Amber Heard, dobiegł końca?

FOT. 123RF

Johnny Depp zdobył sławę w mniej kasowych filmach. Jednak szczyt popularności osiągnął jako szalony pirat Jack Sparrow

Johnny Depp będzie królem, a nie piratem

Reputacja Deppa ucierpiała, ale wciąż są tacy, którzy chcą go oglądać na ekranie. Osobliwie w Europie, gdzie cieszy się znacznie większą estymą niż w Stanach. W ubiegłym roku był tu uhonorowany m.in. podczas festiwali filmowych w San Sebastian i Karlowych Warach.

Zdjęcia w Wersalu

O nowym „królewskim" projekcie Deppa nadal niewiele wiemy. Niezatytułowany jeszcze film z gatunku „miłość i władza", fabularyzowany, lecz „oparty na faktach", wyreżyseruje Maiwenn Le Besco, francuska aktorka, reżyserka scenarzystka filmowa. Wystąpi w nim również w roli głównej - wcieli się w postać kochanki króla Ludwika XV, słynącej z urody i seksualnych powabów Madame du Barry.

Jako pierwszy o zbliżającej się produkcji poinformował francuski magazyn plotkarski „Closer". Zdjęcia do filmu mają rozpocząć się 8 lipca, ale nieznany jest jeszcze budżet ani skład ekipy filmowej. O scenariuszu wiemy zaś tylko tyle, że skupi się „na ostatnich latach panowania monarchy". Zważywszy, że Ludwik XV poznał Jeanne du Barry w 1768 r. (zmarł 10 maja roku 1774), trudno, żeby było inaczej.

„Zdjęcia będą kręcone m.in. w Paryżu, ale przede wszystkim w pałacu w Wersalu" - informuje triumfalnie „Closer", co może zgryźliwców skłaniać do pytania: „A gdzież indziej można kręcić film o Ludwiku XV?". Człowieku, który w Wersalu spędził całe życie, tam się urodził, tam w wieku 13 lat wstąpił na tron i tam zmarł.

„Depp jest skończony"

Na początek przypatrzmy się bliżej Deppowi, czyli przyszłemu ekranowemu monarsze. 59-latek uważany jest za jedną z największych gwiazd filmowych na świecie. A właściwie był uważany do jesieni 2020 r., gdy w listopadzie przegrał proces z tabloidem „The Sun". Wcześniej brytyjski sąd uznał, że określenie aktora mianem „damskiego boksera nie było nadużyciem". Należące do Ruperta Murdocha wydawnictwo News Group Newspapers broniło swoich słów, opierając się na zarzutach o stosowanie przemocy domowej skierowanych przez Amber Heard pod adresem Deppa.

Czy naprawdę gwiazdor „Piratów z Karaibów" znęcał się nad małżonką? Nie wiadomo, on sam twierdził, że to wszystko zostało ukartowane przez byłą żonę i że to ona stosowała przemoc w ich związku. To zresztą nie ma znaczenia. Na Deppa spadł hejt i opuścili go wpływowi przyjaciele z branży. Poszła fama, że „jest skończony" i musiał nawet oddać rolę w błahym, ale dochodowym filmie „Fantastyczne zwierzęta" (zastąpił go Mads Mikkelsen).

Depp jest rasistą?

Trzeba przyznać, że jako hollywoodzka persona non grata Depp grał godnie rolę banity.

59-latek uważany jest za jedną z największych gwiazd filmowych. A właściwie był uważany do jesieni 2020 r., kiedy wybuchł skandal

W zeszłym roku, w wywiadzie dla „The Sunday Times", wyrażał nawet umiarkowaną nadzieję na odmianę losu: „Właściwie to nie mogę się doczekać następnych filmów, które zrobię. W pewnym sensie będą one moimi pierwszymi" - mówił. Wspomniał także o filmie „Minamata", w którym zagrał amerykańskiego dziennikarza-fotografa podczas działań na Oceanie Spokojnym w czasie II wojny. Film pokazano w Berlinie, ale w Stanach został kompletnie zbojkotowany.

Szybko przypomniano, że upokarzający sądowy koniec małżeństwa z Amber Heard to niejedyna klęska, która nań spadła. W 2019 r. Dior wycofał reklamę perfum, których Depp był twarzą, na czym aktor ponoć sporo stracił. W filmiku spacerował po indiańskim rezerwacie i brzdąkał na gitarze. Marce i aktorowi zarzucono rasizm i „zawłaszczanie kultury Indian". Dodatkowe oburzenie liberałów wzbudziła nazwa perfum - „Sauvage", która oznacza „dzikusa".

Ale, co ciekawe, podobny indiański motyw pojawił się w filmiku promującym „Sauvage" rok wcześniej. Choć w nim również wystąpił Johnny Depp, to jednak wtedy nie pojawiły się żadne kontrowersje. Niektórzy dopatrzyli się w tym nielojalności Diora wobec aktora, któremu wbito „nóż w plecy", gdy tylko pojawiły się jego medialne problemy.

Kłopoty z „Ukochanym"

Pierwsze komentarze historyków do doniesień „Closera" koncentrują się głównie na postaci Ludwika XV. O schyłku jego panowania nie mają najlepszego zdania: „Król był wtedy znienawidzoną we Francji personą, wokół której krążyły oskarżenia o korupcję, złe zarządzanie państwem oraz rozwiązłość" - można przeczytać w internetowych dyskusjach.

Po części to prawda. O ile na początku panowania nazywano go „Ukochanym", z czasem stracił królewski autorytet. Monarcha stał się symbolem „starego ładu", który ówcześni „postępowi myśliciele" zwalczali swoimi pismami i pamfletami. U schyłku panowania Ludwika po Francji krążyła popularna karykatura, która przedstawiała króla jako zaćmione słońce, generalnego kontrolera finansów jako dziurawy worek i ministra spraw zagranicznych jako trzcinę chwiejącą się na wietrze.

Francji nie omijały też inne nieszczęścia niż tylko słaby król. W 1773 r. z powodu nieurodzaju zabrakło zboża i wybuchły zamieszki w Paryżu. Szybko rozeszła się wieść, że rząd ukrył zboże, by wywołać głód. Antykrólewskie i rewolucyjne nastroje spacyfikowało dopiero wojsko.

Słowo o pięknej du Barry

Spory udział w utracie prestiżu przez Ludwika XV miała wspomniana Madame du Barry, żona bajecznie bogatego szlachcica Jeana du Barry, który uczynił z niej kurtyzanę, znaną w najwyższych kręgach towarzystwa paryskiego i utrzymankę kilku bogatych panów. Może to szokować, ale wówczas było dla elit francuskich dość powszechną praktyką.

Gdy przedstawiono ją Ludwikowi XV, bardzo łasemu na wdzięki niewieście, nie mając tytułu, nie mogła zostać jego oficjalną metresą. Problem ten rozwiązano, wydając ją za mąż w 1769 r. za brata Jeana, hrabiego Guillaume'a du Barry. Dzięki temu 22 kwietnia 1769 r. została już oficjalnie przedstawiona rodzinie króla i natychmiast trafiła do jego łoża.

Wiemy o niej, że była bardzo piękna, inteligentna i miała „miłe usposobienie dla artystów". Niestety, poczynania króla (kolejne bogate i ekstrawaganckie prezenty) spowodowały, że z dnia na dzień stawała się coraz bardziej niepopularna. Gdy na dworze zamieszkała Maria Antonina, wychowana na dość surowym obyczajowo dworze Habsburgów, między obiema damami rozpoczęła się pełna nienawiści wojna. Historycy piszą, że dwór w Wersalu podzielił się na stronników „du Barry" i „Austriaczki".

Gdy Ludwik XV zmarł, Madame du Barry natychmiast wyrzucono z Wersalu. Trafiła najpierw do klasztoru Pont-au-Dames, ale później znalazła sobie kolejnych bogatych protektorów. W 1793 r. (miała wówczas 50 lat i wciąż była olśniewająco piękna) została aresztowana przez Trybunał Rewolucyjny w Paryżu pod zarzutem zdrady. 8 grudnia tegoż roku została zgilotynowana na Placu Zgody. Jej ostatnie słowa brzmiały podobno: „Proszę, panie kacie, jeszcze tylko chwilka".

Chudy jak Johnny Depp

Nie ma sporu co do tego, na co zmarł Ludwik XV - na ospę. Problem w tym, że umierając, zresztą w dość makabrycznych okolicznościach, był już otyły i niezgrabny. Szczególnie w ostatnich latach swego monarszego życia lubował się w pochłanianiu nieprawdopodobnych ilości jadła. Dziś jednak skłania to niektórych do formułowania sylogizmów w stylu: „Skoro film ma być oparty na realiach, Ludwik XV był gruby, to czy gruby będzie także Johnny Depp?".

Historia kina zna co prawda wiele aktorskich metamorfoz, ale czy do lipca Depp aż tak bardzo przybędzie na wadze? Na jego ostatnich zdjęciach, pomijając irytujący zarost, widać jednak szczupłego mężczyznę. Co więcej, ciągnąca się jak tasiemiec sądowa batalia z byłą żoną nadała mu wręcz ascetycznych rysów. Nawet poznana na początku 2020 r. nowa dziewczyna - Sophie Hermann, niemiecka modelka i bohaterka serialu „Made in Chelsea", nie spowodowała, by aktor nabrał większej tężyzny.

Sprawa okazuje się - jak widać - dość istotna, szczególnie dla fanek aktora. Ale jest rozwiązanie. W jednym z komentarzy pod internetową wersją artykułu z „Closer" niejaka mimi89 napisała: „Johnny, podkarmię cię tak, że za miesiąc będziesz wyglądał jak prawdziwy król. Tylko przyjedź do mnie do Caen. Czekam".

eprasa.pl 9875dceec8

Pekin gotowy na otwarcie igrzysk

Daniel Ludwiński
daniel.ludwinski@polskapress.pl

Korespondencja z Pekinu

Dziś o godz. 13 polskiego czasu rozpocznie się ceremonia otwarcia igrzysk olimpijskich w Pekinie. Mimo pandemii i wielu obaw, największe zimowe zawody świata odbędą się zgodnie z planem, choć niemal wszyscy zastanawiają się, jak tak naprawdę będą wyglądały.

Większość polskich sportowców przebywa w Chinach już od tygodnia, ale na lotnisku w Pekinie wciąż lądują kolejne samoloty. W nocy ze środy na czwartek polskiego czasu na miejsce dotarliśmy również my - wyżej podpisany i fotoreporter Andrzej Banaś.

Nasza podróż na igrzyska odbyła się z przesiadką - lotów komercyjnych na igrzyska nie ma, a zgodę Chin na start z Warszawy otrzymało tylko jedno połączenie. Lotnisko im. Charles'a de Gaulle'a w Paryżu stało się więc jednym z głównych punktów przesiadkowych dla wszystkich, którzy chcą się dostać na igrzyska z Europy - startują z niego trzy olimpijskie samoloty w tygodniu.

Lecąc do Pekinu, nie byliśmy jedynymi Polakami na pokładzie - wraz z nami do celu dotarli m.in. prezes Polskiego Związku Narciarskiego Apoloniusz Tajner, wiceprezes ds. narciarstwa alpejskiego i snowboardu Marcin Blauth, doktor Aleksander Winiarski oraz działacze i trenerzy łyżwiarstwa szybkiego i narciarstwa alpejskiego. W naszym samolocie licznie reprezentowani byli również Austriacy, Czesi czy Francuzi.

Scenariusz widowiska pozostaje tajemnicą, choć próby odbywały się od dawna. Chińczycy chcą zachwycić ceremonią otwarcia cały świat

FOT. ANDRZEJ BANAŚ

Igrzyska odbędą się w reżimie covidowym, który ma być bardzo mocno przestrzegany

Nie sprawdziły się, przynajmniej w przypadku naszego lotu, obawy związane z generowaniem kodów QR, które były niezbędne, by w ogóle dostać się do samolotu. Cały proces ich otrzymywania (angażujący chińskie ambasady w poszczególnych krajach) był wprawdzie czasochłonny, absorbujący, a nierzadko po prostu irytujący, ale gdy już wypełniło się wszystkie pola w olimpijskiej aplikacji, wówczas odpowiedni kod dostawało się bardzo szybko. A jeszcze szybciej przebiegało okazywanie go i weryfikowanie na paryskim lotnisku.

Na miejscu w Pekinie też nie było źle. Tydzień temu gospodarze dopiero uczyli się przyjmowania olimpijskich gości, przez co po przylocie przez pół dnia koczowało się na lotnisku. Nam dopełnienie wszelkich formalności zajęło niespełna dwie godziny. Do przejścia mieliśmy wprawdzie cały labirynt rozmaitych korytarzy, bramek otwieranych kolejnymi kodami QR, a także przejażdżkę windą, ale choć na pierwszy rzut oka było to skomplikowane, w rzeczywistości o bałaganie nie było mowy. Najgorszym momentem podróży był test na koronawirusa. Testowanie w Polsce zdaje się niewinną zabawą w porównaniu z tym, jak nieprzyjemne jest pobieranie próbki z nosa w wersji chińskiej.

Dziś ceremonia otwarcia

Wstępne fazy rywalizacji w niektórych dyscyplinach trwają już od środy, ale oficjalne otwarcie igrzysk odbędzie się w piątek o 13 naszego czasu, gdy oczy całego świata skierują się na stadion narodowy zwany Ptasim Gniazdem. Scenariusz widowiska pozostaje oczywiście tajemnicą, choć próby odbywały się od dawna, a Chińczycy mają nadzieję, że przygotowany przez nich show zachwyci widzów.

W uroczystości nie wezmą udziału ci z Polaków, którzy w najbliższym czasie mają przewidziane starty. W tym skoczkowie, którzy już w czwartek wieczorem odbyli pierwszy trening. ©℗

Wrócił Kownacki, wraca ekstraklasa, wróci tytuł mistrza na Bułgarską?

Piłka nożna

Tomasz Biliński
redakcja@polskapress.pl

47 dni trwała zimowa przerwa w PKO Ekstraklasie. W piątek do gry wrócą drużyny z końca tabeli, wśród których jest Legia. Będący faworytem do mistrzostwa Polski Lech zagra w niedzielę z Cracovią.

Ostatni mecz umownej rundy jesiennej odbył się 19 grudnia. Drużyny wróciły do zajęć na początku stycznia. Wszystkie, oprócz przedostatniej w tabeli Legii Warszawa, która wyleciała do Dubaju, przygotowywały się w Turcji. Łącznie zespoły PKO Ekstraklasy rozegrały 76 sparingów, z których wygrały 38, a 25 zakończyło się remisami.

Gdyby sugerować się formą z meczów towarzyskich, wiosną należałoby się spodziewać szaleńczej pogoni legionistów. Wciąż mistrzowie Polski wygrali wszystkie pięć sparingów, tracąc w nich zaledwie jednego gola. Ale niepokonane było też Zagłębie Lubin, które niemal jak co roku kończy rozgrywki w dolnej połowie tabeli.

Z kolei Kolejorz pod wodzą Macieja Skorży rozegrał najwięcej, bo sześć spotkań. W żadnym

FOT. SZYMON STARNAWSKI

Dawid Kownacki odszedł z Lecha do Sampdorii przed sezonem 2017/18

z nich nie zdążył wystąpić Dawid Kownacki, który dopiero w środę przybył do Poznania. Napastnik, który w marcu skończy 25 lat, został wypożyczony z Fortuny Duesseldorf do końca sezonu. Lecha opuścił przed sezonem 2017/18, przechodząc za 4 mln euro do Sampdorii. Natomiast jeśli chodzi o powroty, to do Legii wrócił Paweł Wszołek (wypożyczenie z Unionu Berlin), a do Piasta Gliwice Kamil Wilczek (rozwiązał umowę z FC Kobenhavn).

Ponadto Lech, który według bukmacherów jest największym faworytem do zostania mistrzem Polski, kupił m.in. Kristoffera Velde z norweskiego Haugesundu. Wydał na 22-letniego ofensywnego pomocnika 1 mln euro, wyrównując klubowy rekord transferowy. Na zwycięski wyścig o mistrzostwo z Lechem liczy przede wszystkim Pogoń.

20. kolejka, piątek: Bruk-Bet Termalica- Jagiellonia (godz. 18, transmisja nSport+, Canal+ Sport), Zagłębie- Legia (20.30, Canal+ Sport); **Sobota:** Stal- Górnik Zabrze (15, Canal+ Sport), Piast- Pogoń (17.30, Canal+ Sport, TVP Sport), Lechia - Śląsk (20, Canal+ Sport); **Niedziela:** Górnik Łęczna- Warta (12.30, Canal+ Sport), Raków- Wisła Kraków (15, Canal+ Sport), Cracovia- Lech (17.30, Canal+); **Poniedziałek:** Radomiak- Wisła Płock (18, Canal+ Sport).

1. Lech	19	41	37-13
2. Pogoń	19	37	35-16
3. Raków	19	35	36-22
4. Radomiak	19	35	28-16
5. Lechia	19	33	33-23
6. Wisła Płock	19	29	29-26
7. Górnik Zabrze	19	28	27-26
8. Stal	19	28	26-26
9. Cracovia	19	26	25-26
10. Śląsk	19	24	30-30
11. Jagiellonia	19	24	24-31
12. Piast	19	23	26-26
13. Wisła Kraków	19	21	21-30
14. Zagłębie	19	20	20-36
15. Górnik Łęczna	19	18	19-36
16. Warta	19	16	14-24
17. Legia	18	15	19-30
18. Bruk-Bet	18	12	20-32

REKLAMA
0010375959

eprasa.pl 9875dceec8

Kosta Runjaic: Jesteśmy bardziej dojrzali i chcemy zagrać nadzwyczajną rundę

Jakub Lisowski
sport@gs24.pl

Piłka nożna

Zimowe przygotowania zakończone. W piątek Pogoń Szczecin wyruszy do Gliwic, by w sobotę zagrać z Piastem w pierwszej wiosennej kolejce. O zimie, inauguracji i celach trener Kosta Runjaic mówił podczas piątkowej konferencji prasowej.

Sytuacja kadrowa

Mamy dość komfortową sytuację, bo poza Konstantinosem Triantafyllopoulosem, Alexandrem Gorgonem i Kacprem Smolińskim mamy wszystkich zawodników do dyspozycji. Smuci nas to, że Alex pewnie w tym sezonie już nam nie pomoże, ale cieszą postępy Kacpra w rehabilitacji.

Znaki zapytania przy składzie

Nie ma ich dużo. Wiadomo, że mamy treningi, przed nami długa podróż, więc nie znam jeszcze pełnego składu i na pewno, go nie podam.

Cele na wiosnę

Obecna sytuacja w tabeli jest dla nas dobra. Podtrzymujemy trend z ubiegłego sezonu, choć do tej wiosny przystępujemy w odrobinkę gorszej sytuacji w porównaniu z poprzednim rokiem. Jesteśmy wiceliderem, a nie liderem. Omawialiśmy to już wewnątrz drużyny. Zrobimy wszystko, by na górze tabeli pozostać jak najdłużej i zrobimy wszystko, by powalczyć o mistrzostwo Polski. Rozmawialiśmy z zespołem i wszyscy są świadomi, że jesteśmy w tym temacie krok dalej. Przede wszystkim jesteśmy bardziej dojrzali, więc chcemy zagrać nadzwyczajną rundę. Będzie to spore wyzwanie. Nie chodzi nam jednak tylko o miejsce w tabeli, ale chcemy się też dobrze prezentować. A na koniec sezonu chciałbym powiedzieć, że daliśmy z siebie wszystko. Myślę, że w tej pierwszej fazie sezonu zrobiliśmy postęp jako drużyna, czy też postęp zrobili poszczególni zawodnicy. I jest to też naszym zadaniem na wiosnę, by z meczu na mecz robić takie postępy.

Kwestia młodzieżowca

Wiedzieliśmy, że Kacper Kozłowski opuści nas w pewnym momencie. Przy tym transferze pobiliśmy rekord klubu, ale to pokazuje też na jakim poziomie jest ten chłopak w Europie. Odejście Kacpra to osłabienie całego zespołu. Było jasne dla mnie, że ciężko go będzie zastąpić. Nie oznacza to, że będziemy grać teraz słabiej. Mamy utalentowanych graczy i to dla nich szansa na udaną rundę. Zgodnie z regulaminem musimy mieć zawodników z rocznika 2000 lub młodszych. Maciej Żurawski jest z 2000, Mateusz Łęgowski i Mariusz Fornalczyk z 2003. Oni mnie przekonali i mają najbliżej składu. Bardzo dobrze się wkomponowali do drużyny, są akceptowani w szatni. Nie muszą grać jak Kacper, ale muszą pokazać swoją jakość i swoje umiejętności. Wiedzą, że oczekiwania są wysokie, bo i Kacper bardzo dużo dołożył do sukcesu drużyny jesienią.

FOT. SEBASTIAN WOŁOSZ

Kosta Runjaic na piątkowej konferencji

Vahan Biczachczjan

Bardzo dobrze się wkomponował od pierwszego dnia pobytu u nas. To młody zawodnik o dużym potencjale do rozwoju. Na Słowacji był zawodnikiem podstawowym, robił liczby, widać, że ma talent. Z pewnością wniesie u nas pewną nieobliczalność. Ma sporo ciekawych rozwiązań, jest niebezpieczny pod bramką przeciwnika. Z pewnością pojedzie do Gliwic.

Kacper Kostorz

To też chłopak z potencjałem rozwojowym. Jest napastnikiem, a to zawsze ciekawy temat w klubach. Każdy zawodnik ma swoją drogę rozwoju - jedno do pewnego poziomu dochodzą szybciej, inni trochę później. Na „11" u nas jeszcze nie jest gotowy, ale on sam widzi większą szansę w Pogoni niż w Legii. Damy mu czas i ma u nas duże możliwości. Musi mocno pracować nad sobą.

Piast Gliwice i plan na mecz

Plan jest taki, że chcemy zagrać po swojemu, a wtedy postawimy trudne warunki Piastowi. Chcę by nasza ofensywa sprawiła, że nie będą mieli szans na swój atak. Wiem, że to życzeniowe myśli, a na boisku może to różnie wyglądać. Graliśmy z nimi wiele spotkań i na ogół były to wyrównane mecze, ciężko ich ograć. Mają swój plan, w kadrze wielu doświadczonych graczy, którzy potrafią ten plan realizować na boisku. Grają kompaktowo, stabilnie w tyłach i szybko przechodzą do ataków. Naszą grą musimy im się przeciwstawić. Mają ciekawy skład, więc ich obecne miejsce w tabeli zamazuje ten potencjał. Zasługują na lepszą lokatę. Spodziewam się trudnego, pierwszego przetarcia, ale musimy się postarać tam zapunktować.

Luty jako najważniejszy miesiąc wiosny?

Najważniejszy dla nas, ale i dla wszystkich drużyn. Nie możemy sobie pozwolić na straty. Trzeba wygrać jak najwięcej spotkań, szczególnie nie możemy tracić punktów, gdy dominujemy na boisku. Mamy 4 punkty straty do Lecha, więc nie ma możliwości pomyłek. Zespoły za nami będą czekać na swoje szanse, na nasze potknięcia. Start jest więc bardzo ważny, ale po lutym będą kolejne miesiące. Po czterech kolejkach nie rozstrzygnie się walka o mistrzostwo. Różne scenariusze są możliwe, ale my koncentrujemy się na sobie, swojej pracy.

Czy Kamil Grosicki lub Sebastian Kowalczyk będą w kadrze Czesława Michniewicza?

Nie znam planu selekcjonera. Dla mnie i dla wszystkich jest jasne, jak ważne będą spotkania, które są przed polską reprezentacją. Z pewnością selekcjoner myśli o potrzebach kadrowych i będzie dobierać zawodników pod te mecze. Z mojego punktu widzenia Kamil z formą z jesieni lub lepszą dyspozycją z pewnością byłby dobry dla kadry. Ze swoim doświadczeniem, stylem gry może pomóc. Świetnie zachowuje się w sytuacjach przejścia z defensywy do ofensywy, a tacy są potrzebni. Poczekamy w spokoju na decyzje selekcjonera. Ja jeszcze z nim nie rozmawiałem, ale nie oznacza to, że taki kontakt jest niemożliwy. Zna mój numer i ja jestem otwarty do takich rozmów.

Czwórka bramkarzy w składzie. Czy ktoś z młodszych odejdzie?

Nie rozmawialiśmy o tym i nie ma takiej potrzeby. Wszyscy są nam potrzebni. Gdyby Dante nie mógł bronić to mamy zastępców, choćby Bartka, który fajnie prezentował się na treningach. Teraz Dante jest w 100 procentach gotowy. Gdy tylko otrzymał zgodę na powrót do normalnych treningów to wykonał wiele indywidualnych zajęć, a dodatkowo nasi fizjoterapeuci wykonali kapitalną robotę. Wszystko po to, by szybko wrócił do normalnej dyspozycji. Uważam, że po tej kontuzji będzie jeszcze silniejszy.

©℗

Drugi Irańczyk będzie grał w Pogoni

Piłka nożna

Amin Doustali - juniorski reprezentant Iranu - podpisał w czwartek trzyletni kontrakt z Pogonią.

Doustali jest wychowankiem KIA Football Academy z Iranu. Kilka tygodni wcześniej Pogoń zakontraktowała innego młodego zawodnika tej szkółki - Yadegar Rostami. Mają po 18 lat i jesienią trenowali w Szczecinie (nasza akademia sprawdzała trzech Irańczyków). Doustali i Rostami będą na razie w drugim zespole Pogoni. **(LIS)**

FOT. POGONSZCZECIN.PL

Amin Doustali będzie grał w III lidze

Wysokie zwycięstwo wzmocnionego Kinga

Ekstraklasa koszykarzy

King Szczecin wysoko pokonał Astorię w Bydgoszczy 102:71. Po wielu tygodniach przerwy trener Arkadiusz Miłoszewski znów miał do dyspozycji większość zawodników.

Kontuzje wyleczyli i zagrali: Jakub Schenk oraz Jay Threatt, a w zespole zadebiutował też kilka dni temu zatrudniony Cyril Langevine. Większa rotacja zaprocentowała choćby bardzo udaną ostatnią kwartą w której King znacząco powiększył swoją przewagę.

W Bydgoszczy nie zagrał jedynie Malachi Richardson, który znów ma problem z mięśniem dwugłowym uda. Są jednak szanse, że wkrótce wróci na boisko.

Pierwsza odsłona dla Astorii (choć w połowie King prowadził 16:11), ale od drugiej uwidoczniła się przewaga gości.

DARIUSZ BLOCH/POLSKA PRESS

Cyril Langevine w pierwszym meczu w Kingu grał 23 minuty, zdobył 7 punktów, zebrał 5 piłek, popełnił też 4 straty

Szczecinianie szybko zdobyli 10 punktów z rzędu i później tę skromną przewagę potrafili bronić. Astoria nie odpuszczała, dochodziła na remis, ale po udanych minutach dawała punktować Kingowi. Cztery minuty przed końcem III kwarty było tylko 58:53 dla naszego zespołu (celnie osobiste wykonał Mariusz Zębski, w poprzednim sezonie gracz Kinga), ale kolejna seria i przewaga została powiększona do stanu 67:53.

Astoria straciła nadzieję na odrobienie strat na początku ostatniej odsłony. Pudłowała, popełniały straty, a King punktował i spokojnie powiększał przewagę. W 32. minucie było już 77:57, więc teoretycznie mecz był rozstrzygnięty. Nie było chwili przestoju, większego kryzysu. King zamknął spotkanie trzema trójkami i wysokim zwycięstwem.

- W I połowie Astoria za dużo zdobywała punktów spod kosza. W przerwie zmieniliśmy obronę i podziałało. Widać było też, że Astoria miała kłopot z COVID, bo w II połowie stanęła - podsumował trener Miłoszewski. - Cieszy mnie skuteczność z dystansu oraz zespołowa gra, którą widać po asystach.

W niedzielę poważniejszy test dla zespołu Miłoszewskiego. We Wrocławiu Wilki zagrają z mocnym Śląskiem. **(LIS)**

eprasa.pl 9875dceec8